

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKOW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 28 stycznia 1905 r. Nr. 5.

Krwawy dramat w Warszawie.



(Do artykułu na str. 2).

Numer ten zawiera 24 stronic druku!

ZAMACH NA CARA! — Adwokat rycerzem przemysłu [dr. Orłowski]! — Artysta zabójcą!



Z otwarciem parlamentu: Gmach parlamentu wiedeńskiego na „Franzensring".

Krwawy dramat w Warszawie.

(Do illustracyi tytułowej.)

Przed kilku tygodniami znany malarz warszawski, Wacław Pawliszak, oddał na wystawę do Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych jeden ze swych najnowszych obrazów, który jednak na wystawę przyjętym nie został, ze względu na to, że Pawliszak umieścił w tym obrazie w sposób uwłaczający, artystę p. L., którego uważał za swego osobistego wroga.

Wynikły z tego nieprzewidziane następstwa. Pawliszak uczuł się obrażonym tą odmową komitetu wystawy i napisał do komitetu list z ostrą wymówką, czego następstwem był sąd honorowy. Wyrok sądu honorowego wypadł dla Pawliszaka niekorzystnie. Artysta zdenerwowany i zirytowany całem zajściem, nie mógł się uspokoić tem bardziej, że cała sprawa przeniosła się na łamy „Gońca" warszawskiego i stała się głośną, a nadto koło jego znajomych wpływało na niego ujemnie i namawiało go do szukania na innej drodze odwetu.

Między innemi chciał żądać Pawliszak satysfakcyi od profesora szkoły sztuk pięknych w Warszawie, rzeźbiarza Dunikowskiego, członka komitetu wystawy. Prof. Dunikowski uznał jednak Pawliszaka za niepoczytalnego i na mocy protokółu sądu honorowego odmówił dania satysfakcyi, gdy ten ostatni przysłał świadków z wyzwaniem.

Wszyscy spodziewali się, że wyniknie z tego skandal — ale nikt się nie znalazł, ktoby postarał się o usunięcie nieporozumienia drogą pokojową. Pawliszak rozdrażniony i jak twierdzą dzienniki, podżegany przez chciwych senzacyi i lubujących się w skandalu rzekomych przyjaciół, zaprzysiągł sobie, że sam wymierzy sobie sprawiedliwość.

W ubiegłą środę o godz. 4 po południu zaszedł prof. Dunikowski z p. Krywultem do restauracyi Lijewskiego na Krakowskiem Przedmieściu, gdy w tem zjawił się w lokalu restauracyjnym Pawliszak i podszedłszy do Dunikowskiego, zamierzył się nań, by go uderzyć. Dunikowski unikając uderzenia, wyciągnął z kieszeni rewolwer i strzelił do przeciwnika, który z przestrzeloną głową runął zakrwawiony na ziemię.

Ciężko rannego Pawliszaka przewieziono do szpitala św. Rocha, gdzie lekarz skonstatował stan beznadziejny.

Kula przebiła policzek i ugrzęzła w mózgu. Operacyi dokonać na razie nie było można. Ranę opatrzono tylko powierzchownie i przewiązano. Tymczasem tętno i oddech słabły i nadzieja utrzymania artysty przy życiu nikła. Nie odzyskawszy ani na chwilę przytomności, nie poznawszy nawet matki, która zjawiła się przy łożu rannego syna, zakończył Pawliszak życie o godzinie 2 w nocy.

Prof. Dunikowski zawiadomił policyę o zajściu i złożywszy w cyrkule zeznanie co do przebiegu nieszczęśliwego wypadku, został przewieziony do więzienia śledczego.



Krwawy dramat w Warszawie: Ksawery Dunikowski zabójca Pawliszaka.

Z otwarciem parlamentu.

Znowu zebrali się w dniu 24 stycznia b. r. posłowie i przedstawiciele ludów, zamieszkujących Austryę, we wspaniałym gmachu parlamentu wiedeńskiego na „Franzensringu", wystawionym jeszcze w 1883 roku przez budowniczego Teofila Hansena.

Okazały gmach parlamentu, na którego wystawienie wyłożono 15 milionów koron, był widownią, na której rozegrało się wiele wypadków o znaczeniu historycznem. Ruch konstytucyjny w Austryi przybierał różne formy i każdy obywatel państwa śledzi z natężoną uwagą każde tam wypowiedziane słowo, każdy nowy projekt ustawy czy reformy, a najważniej każde przedłożenie rządu, dotyczące zwiększenia podatków i innych świadczeń ze strony obywateli na rzecz państwa. I każdego musiało uderzyć, że w ostatnich latach życie parlamentarne zupełnie zamierało, praca ustawodawcza tej najwyższej instytucyi prawodawczej zanikła, a na widowni rozgrywały się walki partyjne i narodowościowe, prowadzone z całą zaciętością i namiętnością z jednej strony przez Niemców, a z drugiej przez Czechów. Energię swą wyładowywali posłowie w walce słów, w których jakości nie przebierali wcale. Zmuszony do ustąpienia został prezydent ministrów Körber, nie umiejący położyć kresu tym namiętnym walkom. Zadowolić żądania wszystkich było niemożliwością dla byłego premiera, gdyż żądania jednych wyłączały możliwość spełnienia postulatów strony przeciwnej.

Powołany na opróżnione po prezydencie Körberze miejsce baron Gautsch, stoi przed bardzo trudnem zadaniem uzdrowienia stosunków, panujących w izbie poselskiej — i czy i o ile odpowie pokładanym w nim nadziejom — czas pokaże. W każdym razie można twierdzić na pewno, że bez poważnych ustępstw na rzecz ludów w Austryi, nie można myśleć o prawdziwem uregulowaniu pracy parlamentu, a państwo, chcące odpowiedzieć ciążącemu nań zadaniu, nie może dopuszczać do rozpanoszenia się tak anormalnych i chorobliwych stosunków.

Wspaniały gmach, roztaczający się przed naszemi oczami, gdy znajdziemy się w Wiednin na „Franzensring", wystawiono ogromnym nakładem pieniężnym po to, by w nim pracowali dla dobra wszystkich obywateli państwa ich przedstawiciele. O wspaniałych rezultatach śnili pierwsi zwolennicy, bojownicy i pionierzy rządów konstytucyjnych i demokratycznych — i dziś w niejednego duszy rodzi się zwątpienie! Daje się odczuć powszechna apatya na sprawy najważniejsze każdego obywatela, ogół coraz więcej zniechęca się i coraz mniej interesuje się sprawami życia publiczne-

go i politycznego. I możemy mieć słuszną pretensyę do tych, którzy będąc w stanie, nie zaradzili i nie zapobiegli zniechęcaniu się i odsuwaniu obywateli od udziału w życiu publicznem.

Na razie mają posłowie słabą — ale w każdym razie mają nadzieję, że Czesi odstąpią od obstrukcyi i że parlament rozpocznie poważne obrady. Położenie polityczne nieco się zmieniło, lecz nikt nie spodziewa się, że spokój zapanuje na długo. Parlament, który od szeregu lat nie przeprowadził żadnej o szerszem znaczeniu uchwały, ma z rozpoczęciem poważnych obrad przed sobą taki nawał pracy i to pracy, pod każdym prawie względem dotychczas upośledzanych narodów słowiańskich, że nie można się spodziewać, by spokojnie na to patrzeli posłowie niemieccy, wyrośli na gruncie namiętnych i w dzisiejszych warunkach nieuniknionych walk narodowościowych.

Na posiedzeniach parlamentu, w czasie których rozgrywały się te nie przebierające w słowach walki, olbrzymia sala posiedzeń świeciła pustkami. Regularnie zjawiali się na posiedzeniach ci posłowie, którzy w tem wszystkiem brali udział i nie rzadko się zdarzało, że brak kompletu uniemożliwiał prowadzenie dyskusyi.

Prawdopodobnie pierwsze posiedzenia Izby zgromadzą posłów wszystkich frakcyj w pełnym komplecie, jeśli nie po co innego, to choćby po to, żeby się długo i stale nieobecni na posiedzeniach posłowie — ze sobą zobaczyli.



Wojsko przeciw carowi: Kartacz armatni pada przed carem podczas uroczystości Jordanu.

Wojsko przeciw carowi.

Ruch rewolucyjny w Rosyi używa jako środka w walce politycznej: t e r o r u. Trudność poruszenia i rozbudzenia ciemnych mas, które więcej instynktowo i odruchowo na arenę tej walki występują, sprawia, że t e r o r jest tam w pełnej mierze zastosowywany.

Kula czy sztylet grozi tak policyjnemu urzędnikowi, który się zbytnio zaangażuje w prześladowaniu ruchu rewolucyjnego, jak i ministrowi, nie chcącemu zrobić ustępstw wolnościowych.

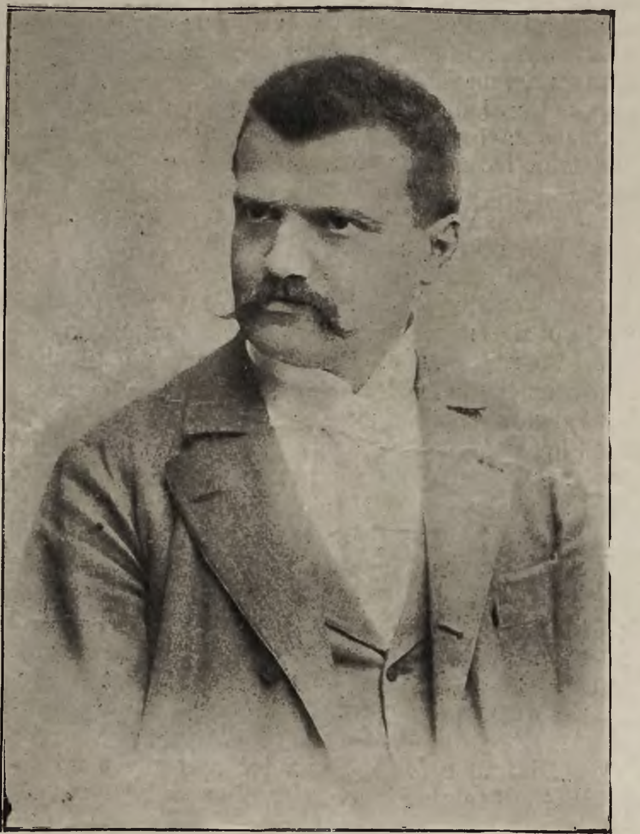
Historya wieku XIX w Rosyi zaznaczyła się licznymi zamachami na jej władców, a tradycya ta jest niejako przywiązaną do tronu carów. Ostatnie czasy dostarczają dowodów na to — a o częstych zamachach na cara dowiadujemy się przez półurzędowe i prywatne drogi, gdyż oficyalna Rosya ze zrozumiałych dla nas powodów o nich milczy. I tak niedawno, bo podczas podróży carskiej, miano wysadzić w powietrze pociąg na stacyi B a r a n o w i c z e w gubernii mińskiej — ale o tem wszystkiem nie wypuszczono z Rosyi ani jednego słowa.

W ubiegły czwartek doniosła rosyjska agencya telegraficzna o z a m a c h u, o którym zamilczeć trudno było, gdyż świadkami jego byli reprezentanci wszystkich państw, biorący udział w galowej uroczystości ś w i ę c e n i a J o r d a n u.

W uroczystości tej, która przypada na dzień 19 stycznia, brał udział car, carowa i cała świta dworska.

Po poświęceniu wody przez cara, miały wystrzelić na wiwat armaty I bateryi gwardyi cesarskiej, właśnie przed budynkiem giełdy naprzeciw Pałacu Zimowego. Nagle wprawne ucho oficerów rozpoznało już po pierwszym wystrzale, że wystrzelono z armat nie ślepymi, ale ostrymi nabojami. Niczego nie domyślający się car, nie zauważył paniki na twarzach świty i otoczenia. Wokoło nad jego głową grały kule kartaczowe — padały z brzękiem wywalone trafnym strzałem szyby pałacu, a obok tronu carskiego, ustawionego przed pałacem lała się krew; padł trupem konny policyant i został raniony tuż przy Mikołaju stojący książe Włodzimierz. W tej chwili ruszyli kozacy i aresztowali kanonierów i dowódców gwardyi. Kapitan D a w i d o w odebrał sobie natychmiast życie. Na tłum zebrany na uroczystości, uderzyli kozacy i rozprószyli go, raniąc i tratując mnóstwo osób.

Sprzysiężenie wojskowe, zawiedzenie się na samej gwardyi cesarskiej, doda z pewnością ruchowi rewolucyjnemu w Rosyi tej pewności, że wojsko nie zwróci armat przeciwko ludowi, skoro kulami armatniemi samo chce obalić samodzierżawie.



Adwokat – rycerzem przemysłu: Dr. J. Lubicz Orłowski.

Adwokat — rycerzem przemysłu.

Zdarza się bardzo często, że ludzie wybitnych zdolności, ludzie wyjątkowo przez los i naturę wyposażeni — szwankują pod względem moralnym i etycznym.

I *vice — versa:* najpomysłowsi, najwięcej wyrafinowani łotrzy odznaczają się z reguły wybitnemi zdolnościami intellektualnemi. Znakomite potwierdzenie obu tych hipotez, znachodzimy w kryminalnym procesie, znanego w kraju i po za granicami adwokata dra Józefa Orłowskiego. Czy Orłowski jest istotnie tak złym, jakim się w świetle aktu oskarżenia przedstawia? Jest to bez kwestyi człowiek wykolejony, wytrącony z normalnych torów życia, zgubiony bezpowrotnie. Człowiek, który kilkakrotnie i bardzo blisko ocierał się o kryminał, aż wreszcie otworzyły się na rozcieżż przed mim ponure jego kraty. Czy jednak Orłowski jest z gruntu złym i zepsutym człowiekiem, czy w czarnej duszy tego człowieka nie było nigdy jaśniejszych przebłysków? Przeciwnie, jeżeli każdy zbrodniarz ma pewne, choćby głęboko ukryte zalety — to z pewnością o Orłowskim twierdzić można, że miał tych zalet niemało. Słyszymy n. p., że Orłowski popełniał olbrzymie oszustwa, naciągał ludzi z niebywałą zręcznością, a równocześnie rozdawał hojne zapomogi stowarzyszeniom i prywatnym ludziom.

Głównym motywem zbrodniczych jego czynów, była wygórowana chorobliwa ambicya. Dla jej zadowolenia wstąpił na niebezpieczną drogę wymuszań, szantażów i oszustw.

Orłowski, będąc jeszcze w Krakowie koncypientem adwokackim, urządzał rozmaite szantaże i oszustwa i powoli wprawił się do tego stopnia w szlachetne swoje rzemiosło, że doszedł we Wiedniu do zdumiewających rezultatów.

Wszystko jednak ma swój koniec i zbrodnicze postępowanie Orłowskiego obudziło wreszcie uwagę i czujność krzywdzonych. Na skutek doniesienia karnego, miał być właśnie wydany nakaz aresztowania Orłowskiego, gdy sprytny ptaszek, zwąchawszy snać pismo nosem, ulotnił się nagle z Wiednia do Warszawy. Gdy Austrya zwróciła się do władz miejscowych o wydanie zbiega, żądaniu natychmiast uczyniono zadość i p. Józef Lubicz Orłowski odbył przymusową, w asystencyi rosyjskich żandarmów, podróż z Warszawy do Wiednia.

Obecnie odpowiada Orłowski za swoje sprawki przed trybunałem sędziów przysięgłych w Wiednia. Nie ulega kwestyi, że tym razem nie uda się sprytnemu oszustowi uniknąć karzącej sprawiedliwości!...

KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

17 (Ciąg dalszy).

Amelia pierwsza przerwała długie milczenie.

— Przyszłam do ciebie, bo chciałam mówić o Zosi... lecz tragedya życia naszego objęła władzę nad myślą moją i twoją... i pogrążylibyśmy się oboje w bolesnem rozpamiętywaniu czarnej przeszłości, zapowiadającej czarniejszą może przyszłość. Mówiąc o Zosi, a potem o Jerzym, myśleliśmy o Leonii... tylko o Leonii, matce dziecka naszego Maksa... i przyznaj mój drogi, że oboje zadrżeliśmy na myśl, że będziemy może zmuszeni spotkać się z nią kiedyś oko w oko, czy tu, u ciebie, czy u mnie, gdy z właściwą sobie bezczelnością przyjdzie, jako matka, upomnieć się o swego syna.

Kapłan wzruszył ramionami.

— Gdyby Leonia żyła jeszcze, oddawnaby się już do nas zgłosiła — rzekł tonem głębokiego przekonania.

— Tak sądzisz?

— Bezwątpienia.

— Czy moglibyśmy jej zwrócić Jerzego, to dziecię, które, wśród ciągłego niepokoju i obawy o jego przyszłość, otaczaliśmy najbaczniejszemi wychowawczemi staraniami. Wiesz sam najlepiej, ile trudu ponieśliśmy przy zwalczaniu wrodzonych mu złych skłonności, jak rozbudzaliśmy szlachetność i tkliwość w jego sercu chłodnem i dumnem, zamkniętem dla miłosierdzia i litości... I teraz właśnie, gdy pod wpływem rad moich i okazywanego mu przez nas oboje przywiązania, stał się takim, jakim go widzieć pragnęliśmy, gdy uczyniliśmy zeń prawdziwego Wielogrodzkiego, gdy dusza chłopca wzmocniła się, a umysł zaczął pojmować wzniosłe obowiązki społeczne, miałażby go nam zabrać kobieta zła i nikczemna, zepsuta do szpiku kości?! Nie, nie, to niepodobna! Gdyby się tak stać miało, zwątpićby można o istnieniu Opatrzności!

— Czy mniemasz, że Jerzy jest już istotnie do tego stopnia uszlachetniony, że lękać się o niego nie mamy potrzeby?

— Tak, mój drogi... a nawet powiem ci, że pokładam w nim ufność zupełną.

— Pomimo to baczyć na niego należy nieustannie, zwłaszcza, gdy do Warszawy powróci.

— Bądź spokojny... i z daleka czuwam nad nim. Przez uproszone, bliskie nam sercem i związkami pokrewieństwa osoby, mieszkające tak, jak on w Berlinie, miewam stale, co tydzień, najszczegółowsze relacye o jego postępowaniu. Przy studyach wyższych, jakie obecnie odbywa, należy mu się pewna godziwa swoboda, bo wiesz przecie, że już wkracza prawie w wiek męski. Zaczął siedemnasty rok życia, a młodzi dziś tak wcześnie dojrzewają! Zapewniam cię jednak, że dotąd danej mu swobody nie nadużył nigdy.

To mówiąc księżna powstała z fotelu.

— Czy wybierasz się do głównego zarządu policyi? — zapytał ksiądz Jan.

— Tak. Może nawet pojadę tam zaraz.

— Nie fatyguj się. Pozwól, żebym cię wyręczył.

— Chętnie, mój drogi, chciałabym bowiem wrócić jak najśpieszniej do domu, bo niespokojna jestem o naszą małą.

VVII.

W pałacu przy ulicy Smolnej panowało teraz względne zadowolenie, pomimo bowiem starań księdza Wielogrodzkiego, który złożył szczegółową deklaracyę o znalezionem, a przyjętem przez siostrę jego dziecku, oraz o pokrewieństwie, łączącem je z zaginioną Żarską, urząd główny policyi warszawskiej nie mógł nic wyśledzić, coby rzucało jakiekolwiek światło na losy ślepej i Sabinki. Księżna zatem zatrzymała Zosię u siebie i przyjęła do niej nauczycielkę, zacną i rozumną osobę, która gorliwie zajęła się kształceniem umysłu ślicznego dziewczęcia.

. . . .

Czas wielki, żebyśmy się dowiedzieli nareszcie, co się stało z matką doktora Żarskiego i jego drugą córeczką.

Nie potrzebujemy chyba opisywać rozpaczy, w jakiej spędziły noc całą po odejściu Zosi, każdy bowiem z naszych czytelników i każda z naszych łaskawych czytelniczek odgadnie łatwo, jak musiała być straszną, bezbrzeżną, ogromną.

— Babciu — rzekła Sabinka nazajutrz nad ranem — czuję, że Zosia tu już nie wróci; prawdopodobnie zabłąkała się w mieście. Boże, mój Boże! byle tylko kto jej nie skrzywdził i czegoś złego nie wyrządził. Musimy pójść zaraz jej szukać... Jestem bardzo głodna... I ty także? nieprawdaż? a nie mamy w mieszkaniu ani kawałka, choćby suchego chleba... Chodźmy stąd czemprędzej babuniu... czemprędzej! Będę żebrać... choćby dla tego tylko, żebyś nie umarła z głodu... a przytem... przytem, może spotkamy Zosię... O, musimy ją znaleźć!... Chodź! trzeba szukać mojej siostrzyczki, bo na myśl o niej serce pęka... Boże, Boże! co się z nią dzieje!

Stara, przejęta do głębi obawą własną i wnuczki, podała dziewczynce rękę. Wyszły, a raczej wybiegły obie z domu w groźnym stanie nerwowego rozstroju, a osłabione tak, że ledwie trzymały się na nogach. Perswazye, zatrzymującej je stróżki, nie zdały się na nic. Popędziły bez pamięci, wprost przed siebie... kędy oczy poniosą.

Odwilż panowała na świecie — jedna z tych przykrych i dokuczliwych odwilży lutowych, zamieniających na chodnikach i bruku, śnieg udeptany i ujeżdżony saniami, w brudne, cuchnące, grząskie błoto. W pośród ulic, między kamienicami, rozpostarła się gęsta, szara mgła, zaciemniająca drogę nawet tym, którzy ją dobrze znali i umieli oryentować się po ciemku. Tymczasem Sabinka Warszawy niemal nie znała wcale, wiodła więc ślepą na chybił trafił, nie zdając sobie sprawy gdzie idzie. Przesunęły się naprzód przez najbliższą ich mieszkania ulicę Freta, potem przez całą Długą, następnie zaułkiem, zwanym Przejazd, skąd wkroczyły na plac Bankowy, a za którym — jak dotąd ciągle bezwiednie — zwróciły się na prawo i przez Żabią dotarły za Żelazną Bramę. Sabinka, blada jak trup i drżąca całem ciałem — nie wiedząc, co czyni — wprowadziła babkę między stragany przekupek. Jedna z nich dostrzegła dziewczynkę, ciągnącą za rękę staruszkę.

— Stój, mała! stój! — zawołała donośnie, ale głos jej dźwięczał życzliwością i dobrocią. Zatrzymaj-no się momencik. Masz taką minę, jakbyś wracała z pogrzebu. Czyś ty czasem nie głodna? może dziś nie jadłaś wcale?... Czekaj! czekaj!... weź dwa grosze i kup sobie bułeczkę.

Ślepa zadrżała i stanęła jak wryta. Zmarszczki jej twarzy pogłębiły się jeszcze bardziej niż zwykle, a ciężka łza ściekła po zsiniałych policzkach.

— O, jest was dwie, stara i maleńka... a obie zdychacie z głodu — rzekła przekupka. Co? może nie prawda? Ja się na tem znam. Poczekajcie chwilkę, jakoś się na to zaradzi. Pożywię was... pożywię. To mówiąc, zwróciła się do dziewczyny, stojącej za straganem – Hej, Kasia! skocz-no leniuchu tam, naprzeciw, do kawiarni Jabłczykowskiej... Przynieś nam cztery porcye kawy z mlekiem... i funt chleba. Sama też razem z nami się posilisz, chociaż nieprzymierzając, wyglądasz jak arbuz w jesieni, a masz pyski czerwone, niby świeżo pokrajana ćwikła. Tylko duchem próżniaku!

Kasia chwyciła podane jej pieniądze i pomknęła żwawo ku wskazanej kawiarni.

— Och, pani... pani! jakże ci jestem wdzięczną — szepnęła Żarska.

— Niema za co! Nie potrzebujecie dziękować, moja kobieto. Od razu z buziaka waszej małej poznałam, że siarczyście musi być głodna, a nam chrześcianom, nie wolno patrzeć obojętnie na głodne męki bliźniego naszego. Jeśli bogacze nie zawsze dopomagają biednym, to niech tam sobie zarabiają na smołę piekielną po śmierci, ale nam ubogim skąpić chleba wara!... Jak spożycie, pójdziecie, gdzie wam się spodoba, bez żadnych dygów.. Otóż i kawa!... No pijmy i jedzmy wszystko czworo razem, stojący... bo tu inaczej nie można. Na krzesełka i stół niema miejsca... Powoli, powoli, dziecko, bo się udławisz!... Aż miło patrzeć, jak to żre... No, co? Teraz jakoś ci raźniej i weselej na serduszku... Gdybyście kiedy tędy przełaziły jeszcze, to pamiętajcie o Michałowej, córce czwartaka, chętnej zawsze do pomocy... Mogłabym nawet, moja ślepa pani, wziąść waszą małą, żeby coś nie coś przy mnie zarobiła. Dałabym jej koszyczek nieduży, leciuchny... z fiołkami. Sprzedawałaby je tam, kole bramy, a ja kiedy niekiedy rzucałabyn na nią okiem, bo to widzę drobniutkie, chudziutkie i słabe, więc i czuwać nad tem należy...

— Och, tak! proszę pani, chciałabym bardzo zarabiać — zawołała Sabinka.

Lecz ślepa, nachmurzona i jakaś groźna, nic nie odpowiedziała. Pokłoniła się skinieniem głowy, złapała dziewczynkę za ramię i rzekła do niej głuchym, ochrypłym głosem:

— Chodźmy stąd... chodźmy!

Ucieka z targu niespokojna, lękała się bowiem, żeby Michałowa nie biegła za niemi i nie skradła podstępnie, lub przemocą nie porwała dziecka. Przekupka zaś, patrząc na babkę i wnuczkę z politowaniem, wzrusza ramionami i zwracając się do Kasi, powiada:

— Jeszcze jedna małpa głupia, której chciałam dopomódz, a ona tego nie zrozumiała. Mniejsza o to! Niech ją gęś kopnie... Tfu! głupia, głupia, głupia!

Tymczasem ślepa pędzi dalej z Sabinką, wiodącą staruszkę wciąż po bocznych uliczkach, otaczających olbrzymią targowicę za Żelazną Bramą. Zmęczone strasznie wychodzą na plac Grzybowski, potem na Królewską, a z Królewskiej wstępują do Saskiego ogrodu, który dziewczynka przypomina sobie dobrze, bo bywała tu czasem w lecie z ojcem i w jednej z bocznych, mniej uczęszczanych alei bawiła się z siostrą w piłkę. Znużenie zmusza je usiąść na jednej z ławek. Sabinka zgarnia rączkami z deski śnieg mokry, wyciera ją chusteczką i sadowi babkę, która ciężko oddycha.

— O! jakże się bałam, żeby cię ta Michałowa nie pochwyciła w swoje ręce. Może dlatego właśnie poczęstowała nas kawą. W Warszawie trafiają się kobiety, wykradające dzieci. Obiecywała ci zarobek... Ładny zarobek! Ślicznieby to było, gdyby córka pana doktora Żarskiego sprzedawała fiołki na ulicy!

Dziewczynka nie odpowiada. Końcami wełnianego szalika, którym owinęła sobie głowę, ociera łzy, kręcące się w oczach. Myśli wciąż o Zosi, a nie śmie babki prosić, by szły dalej, bo widzi jak stara jest zmęczona i jak koniecznie potrzebuje spoczynku.

Okropny czas przejmuje ich ciała wilgotnym chłodem. W mgle zgęszczającej się coraz bardziej nad ziemią, nieliczni przechodnie, przesuwający się przed niemi, wyglądają jak cienie, znikające szybko.

Godziny jedna po drugiej mijają, a Sabinka rozumie, że trzeba iść, chociaż nie wie dokąd. Podaje więc rękę Żarskiej i szepcze:

— Chodźmy, babuniu.

Ta, prawie senna, powstaje i postępuje przy wnuczce, lecz mruczy rozdrażniona:

— W którą stronę mnie prowadzisz?... Po co? na co!

— Szukać Zosi.

— Moja droga, nie znajdziemy jej... nie znaj-

dziemy może nigdy. Nie znasz Warszawy, ja zaś instynktem czuję, że ciągniesz mie kędyś daleko... daleko od Nowego Miasta. Gdzie my dziś spać będziemy? Jestem ślepa, stara, do niczego, nie mogę być dla ciebie nawet należytą opieką...

Idą i idą, wciąż przed siebie, przez Mazowiecką, plac Dzieciątka Jezus, Szpitalną, Bracką i plac św. Aleksandra — w Aleje Ujazdowskie. Kiedy niekiedy siadają na jednej z przydrożnych ławeczek, by po wypoczynku ruszać dalej i dalej, aż do Łazienek, spadzistą drogą koło parku Belwederskiego. Potem na dole, krążą wokoło jeziora i brnąc nieraz po pas w śniegu, wracają gościńcem pod górę, obok gmachów szpitali wojskowych. Nieledwie poruszać się mogą, z sił zupełnie wyczerpane. Sabinka woła od czasu do czasu lękliwie:

— Zosiu!... Zosieczku moja! odezwij się...

Wyciąga rączęta przed siebie, a cofnąwszy je po chwili zimną mgłą zroszone, zanosi się od nerwowego, gwałtownego płaczu.

— Sabinko — mówi babka — miej litość nademną! Twoje łkanie rozdziera mi serce... Ach! wracajmy zaraz na Nowe-Miasto.

— Nie, nie, babciu... gdybym nawet chciała, jużbym stąd nie trafiła. Tak mi się wszystko w głowie pogmatwało, że nie mam pojęcia, w którą udać się stronę i co robić... Zwłaszcza teraz... bo teraz babuniu jest już późno... bardzo późno... i ciemno, i śnieg padać zaczyna, i wiatr zewsząd wieje... a Zosi szukać trzeba... moja babuńciu najdroższa, Zosi szukać musimy...

Po wielu trudach wydostają się nareszcie na Nowy-Świat, przemokłe do nitki, śniegiem od stóp do głów obsypane. Ale wśród tłumu przechodniów, potrącających starą i dziewczynkę, Sabinka oszołomiona i prawie nieprzytomna, nie umie sobie dać rady. Ciągle ktoś niebacznem uderzeniem odtrąca ją od babki, a dziewczynka szuka potem ślepej czas jakiś wśród zawiei, smagającej dziecinną twarzyczkę ostremi grudkami śnieżnych kryształków... Więc zwraca kroki w Aleję Jerozolimską, na prawo, ku Wiśle, bo tu, zdaje się jej, że tłum nie tak zbity, a choć czasem jaki człowiek przechodzi i potrąci, to przynajmniej niezbyt urągliwie na nie spogląda... Lecz zato, wicher mroźny, dmący od rzeki, przenika je do kości i oddech zaiera w piersiach.

Jakiś ulicznik — gwiżdżący walczyka z operetki — wpada na nie. Żarska zatrzymuje się i pyta:

— Niech mi pan powie z łaski swojej, którędy idzie się na Nowe-Miasto?

— Naprzód pani rynsztok przeskoczy, potem przelezie przez kupę żwiru, a gdy się tem jejmość nie sfatyguje zbytecznie, proszę pójść raz na prawo, drugi raz na lewo, poczem prosto nosa, jak strzelił!

Zachichotał wesoło, uszczęśliwiony niemądrym żartem, gwiznął przeciągle i poleciał, wymachując rękami, jak skrzydłami wiatraka.

Noc zapadła — czarna noc, bez gwiazd i księżyca.

Ślepa i dziewczynka idą pod wiatr powoli, coraz wolniej, ale idą ciągle, w pośród szerokiej, pustej ulicy, nie mówiąc do siebie ani słowa.

Pewien rodzaj szału i zapamiętania się je ogarnął. Staruszka ledwie się wlecze w głębokim śniegu, ciągniona przez Sabinkę, kierującą się już tylko sylwetami młodych lip i topoli, rosnących przy gościńcu, albo olbrzymimi stosami długich i grubych pni budowlanego drzewa. A przed niemi, w dole, za wałem, leży, lodem ścięta Wisła. Wicher wyjący nad nią żałośnie, wzmaga się nieustannie.

— O, mój Boże! — jękła staruszka. — Gdzież my jesteśmy?

— Na Solcu — odpowiedział jakiś spóźniony robotnik, mijając je śpiesznym krokiem.

— Co się z nami stanie, moja droga? — zawodzi babka. Iść już nie mogę... sił nie mam... Gdzie spać będziemy?... Mnie się jeść nie chce, lecz ty, dziecino, musisz być straszliwie głodna... i przemarznięta. Czuję, jak drżysz całem ciałem...

To mówiąc, tuli Sabinkę do piersi i siada na stoku wału, pokrytego śniegiem.

— Tu jakoś ciszej... i wiatr mniej smaga — szepcze. — Przyciśnij się do mnie, będzie ci cieplej... Połóż główkę na moich kolanach... i zaśnij... Jak odpoczniemy, pójdziemy dalej... a może nas kto miłosierny na nocleg przyjmie i da kawałek chleba... Lecz zanim oczka zmrużysz, zmów pacierz... Pomódl się za Zosię i za ojca, który w tej chwili, oddalony od nas, marznie tam, daleko... na Sybirze!... Wasz ojciec, jak wam nieraz mówiłam, został niesprawiedliwie na ciężkie roboty skazany... Widzę... widzę tych, za których mój biedny Marcin cierpi... Kobieta młoda i piękna, a przy niej młody człowiek... To oni oboje zamordowali Jelskiego!.. Pamiętaj sobie, że masz nienawidzieć całą rodzinę Molskich... Jeden z nich zbrodnię popełnił, a drugi, sędzia, go rozgrzeszył... i ojca twego uczynił ofiarą... O, podli! podli!... nikczemni!... Przeklinam obu... przeklinam!

Majacząc i mrucząc, coraz niewyraźniej, to groźby, to klątwy, ślepa opuszcza głowę na piersi — i zasypia. Sabinka, wyczerpana znużeniem, śpi także.

Tak upływają dwie godziny.

Północ bije na zegarze w jakiejś fabryce.

Wiatr się uciszył, a śnieg pada teraz gęstymi, szerokimi jak dłoń płatami i jakby płaszczem przykrywa śpiące.

Wtem Sabinka budzi się nagle. Przeciera oczy i z przerażeniem spogląda na otaczającą ją rozległą — zda się — nieskończoną przestrzeń lśniącej białości i na biały całun, który spowija je obie. Zrywa się na równe nogi i woła:

— Babciu!... babuniu!

Ale ślepa ani drgnęła.

Dziewczynka ciągnie staruszkę za rękę i krzyczy, co ma sił w piersi.



Babka moja w śniegu zasnęła i nie mogę jej zbudzić...

— Babuniu!... babuniu najdroższa! Zbudź się... odpowiedz choć słówko! Musim uciekać, bo śnieg wzrasta i wzrasta. Zasypie nas całe... zasypie!... Niebo czarne jak atrament... ani jednej gwiazdeczki... nic nie widać. Prócz śniegu nic nie widać wokoło. Boję się... babciu moja, ja się strasznie boję!... Dotknij się rąk moich, a zobaczysz, że trzęsę się cała...

Żarska, jakby martwa, nic nie odpowiada.

Wtedy dziewczynka pędzi na przełaj bez pamięci, zapadając się niemal po szyję w zaspy śnieżne. Spostrzegła przed sobą w oddaleniu jakieś migotliwe światełko, więc ku niemu dąży. Przewracając się co moment i podnosząc natychmiast, dobiega do długiego wozu z daszkiem, zbudowanego na kształt wagonów tramwajowych, ze schodkami, spuszczającemi się ku ziemi. Wdrapuje się na nie — pomimo, że pośliznęła się parę razy — i wali teraz zaciśniętemi piąstkami w drzwi z poza których, przez szparę, tryska promyczek czerwonawej jasności.

— Kto tam?

Sabinka zeskoczyła ze schodków przerażona grubym, gardłowym głosem, wydobywającym się z budy.

— Kto tam? — tenże sam głos powtarza też samo zapytanie.

Równocześnie drzwi się otwierają i ukazuje się w nich kobieta wysoka i straszliwie chuda. Pochyla się nieco, żeby się przyjrzeć osobie, pukającej tak śmiało o spóźnionej porze do jej schronienia.

— Dziecko!... patrzcie państwo! Co tu robisz?... Chyba nie masz rodziców, że włóczysz się po północy na naszem Powiślu?

— Babka moja w śniegu zasnęła i nie mogę jej zbudzić — wyjąknęła Sabinka, składając ręce błagalnie.

— Twoja babka?! Toście chyba obie włóczęgi, co? — zawołała chuda baba, a małe jej oczki zabłysły ponurym jakimś blaskiem.

— Proszę pani... jesteśmy bardzo nieszczęśliwe.

Stara, którą na Solcu wszyscy zwali Ciupagą, wzięła latarkę i rzekła naraz spokojnie.

— Ruszaj naprzód i prowadź tam, gdzie babka leży. Chcę ją zobaczyć...

Z trudnością przedzierała się dziewczynka przez świeże zaspy śniegu, więc nie bez wywrotów doprowadziła kobietę do miejsca, w którem spała Żarska, opierając się plecami na spadzistej pochyłości wału. Ciupaga pochyliła się nad wyciągniętą w śniegu ślepą.

— Na czas się zjawiłam... parę minut jeszcze, a byłoby po niej!

To mówiąc postawiła latarkę na śniegu, wyciągnęła z kieszeni flaszeczkę z wódką i otworzywszy usta uśpionej, wsączyła jej w gardło kilkakrotnie po parę łyków mocnego kordyału. Żarska poruszyła się i podniosła pół ciała, opierając się na łokciach.

—Dalej! dalejże, wstawajcie! Co u dyabła, nie trzeba poddawać się kostusi, bo ona i tak prędzej czy później człowieka chapnie!

— Sabinko! Sabinko! dziecko moje!

— Mała przy was stoi... Czy jej nie widzicie?

— Nie widzę... bom ślepa.

— Ślepa! — szepnęła cicho do siebie Ciupaga, a oczki jej roziskrzyły się radością.

Chwyciła silnie staruszkę oburącz za ramiona i postawiła na nogi. Poczem wsunęła jej prawą rękę pod ramię, lewą zaś ujęła latarkę i nie namyślając się długo, ruszyła szparko ku wagonowi. Za niemi biegła Sabinka.

Ciupaga wpuściła obie przed sobą do budy, a posadziwszy je na wyplatanych krzesełkach, sama zaczęła napychać żelazny piecyk drewkami i sosnowemi szyszkami. Po chwili buchnął z nich jasny płomień.

— Stańcie, albo siądźcie sobie przy piecu, a ja tymczasem przygotuję kolacyę i uwarzę miskę krupniku, który wam flaki rozgrzeje. Po posileniu się, pójdziecie spać — podniosła rękę w górę — tam, na stryszek. Jest w nim siennik i derka wełniana. Wyspicie się, jak jakie królowe. Są wprawdzie i dziury w dachu, można je jednak słomianymi wiechciami pozatykać szczelnie, a stąd ciepła bije dosyć. Jak widzicie pałac mój nienowy, ani duży, na moje jednak potrzeby wystarcza. Jadam także skromnie, ale codziennie... Ha, ha! miałam i ja niegdyś szmat powodzenia, byłam akuszerką, pijałam wino i konsumowałam różne smakołyki u moich kundmanek. O! gdybym chciała mogłabym o niejednej możnej i szanowanej pani opowiedzieć niejeden sekrecik, ale co mi tam! wolę siedzieć cicho... Na nieszczęście policya i sąd wetknęły nosa w moje interesy i wszystko naraz się urwało. Och, ta nasza sprawiedliwość! miesza się do rzeczy, które do niej nie należą. Chciałaby wszystkich uczciwych ludzi na kanalie wystrychnąć! C. d. n.



Gwałty policyi w Warszawie: Najście policyi w nocy na prywatny dom przy ul. Wilczej.

Oprócz tego nowy komendant ma się odznaczać wysokiem wykształceniem fachowem, głęboką znajomością techniki wojskowej, zapobiegliwością i skrzętnością. Te właśnie przymioty skłoniły mikada i jego przyboczną radę wojenną do powierzenia — nie komu innemu, ale właśnie Shibayamie tak odpowiedzialnego stanowiska.

A odpowiedzialność, jaka ciąży na Shibayamie, jest istotnie ogromna. Port Artura ma stać się główną podstawą dalszych operacyj wojskowych Japonii, ma być tą tarczą, o którą powinna się rozbić fala rosyjska w razie, gdyby Japończykom powinęła się noga na placu boju w Mandżuryi. Oprócz tego, przystań ta ma być dziś podczas wojny linią operatywną dla marynarki japońskiej, a później głównym punktem żeglugi handlowej.

Zabezpieczenie i ufortyfikowanie tej olbrzymiej twierdzy, tak od strony morza, jak i od strony lądu, jest obecnie głównem pierwszem zadaniem wiceadmirała Shibayamy. Rząd japoński nie będzie żałował na ten cel grosza, ale wynik prac zależeć będzie tylko od ich kierownika, od nowego naczelnego wodza twierdzy.

Nad wszystkiem zaś czuwa baczne oko nowego komendanta twierdzy, wiceadmirała Shibayamy, który nie szczędził trudów i pracy, byle tylko w jak najkrótszym czasie Port Artura doprowadzić do porządku, przebudować go i przygotować do dalszej wojny!...

Ś. p. Maksymilian Jackowski.

W Poznaniu zmarł niedawno jeden z najszlachetniejszych obywateli W. Ks. Poznańskiego, twórca tamtejszych kółek włościańskich, Maksymilian Jackowski.

Zabór pruski, gdzie hakatyzm na każdym kroku czycha, by uszczuplić i zniszczyć dzisiejszy stan posiadania Polaków, wymaga, żeby na wszystkich posterunkach nie brakło jak najdzielniejszych i nieustępujących nigdy obrońców. W walce z prusactwem i najazdem wyrobiły się też takie jednostki, jak ś. p. Jackowski, którzy aż do śmierci stali i bronili zagrożonych placówek.

Ś. p. Maksymilian Jackowski urodził się w roku 1821 i jako syn niezamożnych rodziców jął się po ukończeniu szkół średnich pracy koło roli. Gorliwie i z całem oddaniem się pracował nad podniesieniem stanu włościańskiego, a jako najpożyteczniejszą i najlepszą formę zrzeszenia włościan, obrał kółka włościańskie.

Nie szczędził czasu i pieniędzy, by ideę Kółek rozszerzyć możliwie pośród najszerszych kół włościańskich i prawie całe życie tej pracy poświęcił.

Oprócz działalności w kółkach włościańskich, dał się poznać ogółowi z pracy publicystycznej; założył dziennik „Orędownik" i wydał cały szereg broszur, omawiających potrzeby Księstwa poznańskiego.

Gwałty policyjne w Warszawie.

Warszawa przeżywa obecnie ciężkie chwile. Wszystkie klęski materyalne i moralne, cały ogrom ucisku spadły niespodzianie na dawną stolicę Polski. Mówimy niespodzianie, bo chociaż ucisk i prześladowanie ma od wieków — stały i chroniczny charakter — to jednak od czasów ostatniego powstania nie przybrało ono tak ostrej i brutalnej formy — jak się to obecnie praktykuje. Całe armie szpiegów — przebiegają miasto, zalegają restauracye i kawiarnie, nadstawiając pilnie ucha, czy nie posłyszą, rozmów naprowadzających na ślad niedozwolonych zwiazków i politycznych konspiracyj. Wkradają się nawet do prywatnych domów i śledzą pod drzwiami spokojnych obywateli. W każdym domu pozatem znajduje się specyalny posterunek policyjny, w osobie stróża domu. Jest to szczególniejsza organizacya — od dawien dawna przyjęta przez system policyjny.

Do jakiego zaś stopnia dochodzi samowola i brutalność administracyjnych władz, daje jaskrawy przykład inwazya policyjna do pewnego domu prywatnego w Warszawie.

Widownią tego gwałtu było mieszkanie pewnego obywatela, zamieszkałego przy ul. Wilczej. Gdy całe towarzystwo zajęte było przy herbacie swobodną pogawędką — ozwało się około godziny 9-tej wieczór gwałtowne dzwonienie. W tej chwili ukazała się w mieszkaniu policya, reprezentowana przez komisarza i jego pomocnika, kilku rewirowych i kilkunastu „stójkowych".

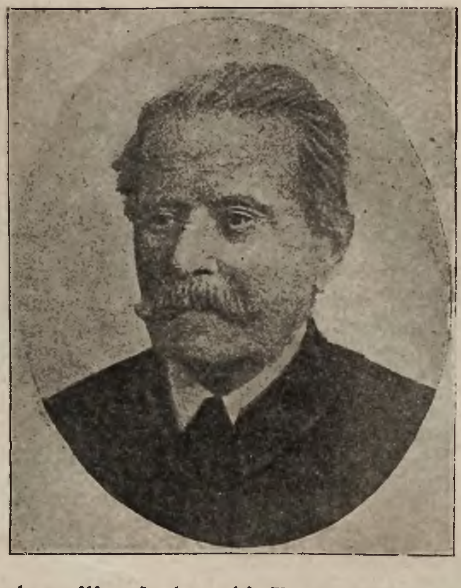
Całe towarzystwo struchlało, a gdy gospodarz, zdumiony i oburzony tą nocną napaścią, zapytał komisarza o cel tych licznych a nieproszonych odwiedzin — usłyszał odpowiedź, że musi spisać nazwiska obecnych. Po dopełnieniu tej formalności, która zresztą nic nie wyjaśniła napadniętym, zażądał znowu gospodarz w sposób grzeczny ale stanowczy opuszczenia jego domu, ewentualnie wylegitymowania się komisarza z tego czynu.

— Wystarczającą legitymacyą jest mój mundur policyjny — odparł zuchwale „pristaw" — domu pańskiego zaś nie opuszczę, aż zapytam się telefonicznie o dalsze polecenia naczelnika policyi.

Zanim odpowiedź przyszła a raczej nadjechała we własnej osobie p. Sajferta, pomocnika szefa policyi—była godzina 3 w nocy. Całe towarzystwo w trwodze i niepewności przepędziło całą noc, dzieci płakały a kobiety mdlały. Podczas tego zaś policya porozsiadała się po fotelach i krzesłach, napełniając dom cały moskiewskim szwargotem, śmiechami, „zapachami" dziegciu i odorem lichego tytoniu.

Pomocnik oberpolicmajstra odczytał nazwiska obecnych i pojedynczo pozwolił każdej osobie udać się do swego domu. Oczywiście ani gospodarzowi, ani jego gościom nie wyjaśniono wcale przyczyny inwazyi policyjnej. Ludzie ci przeżyją w trwodze i niepewności kilka tygodni co najmniej — zanim wreszcie dowiedzą się, że zaszła tu mała pomyłka lub fałszywy donos.

Takie stosunki panują obecnie w Warszawie!..



S. p. Maksymilian Jackowski: Twórca kółek włościańskich w Księstwie Poznańskiem.

Nowy komendant Portu Artura.

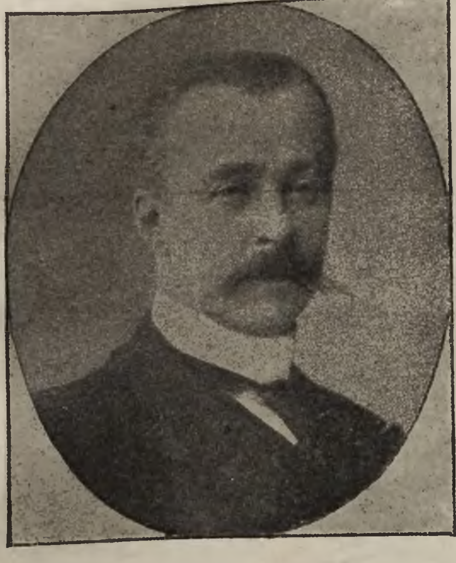
Zaledwie kolumny rosyjskie opuściły Port Artura, zaledwie część armii oblężniczej, przeznaczona na załogę tej twierdzy, wkroczyła do miasta, mikado, porozumiawszy się z ministerstwem wojny i marynarki, naczelnym wodzem Portu Artura zamianował wiceadmirała Shibayamę, szefa sztabu marynarki przy eskadrze admirała Togo, który przez tak długi czas umiał utrzymać w szachu flotę rosyjską, odnieść nad nią tyle tak świetnych zwycięstw i odciąć od strony morza obleganą twierdzę.

Dzienniki angielskie donoszą, że Japończycy nominacyę wiceadmirała Shibayamy na komendanta Portu Artura powitali z niekłamaną radością, gdyż ma to być jeden z najdzielniejszych marynarzy, jeden z tych oficerów, których odwaga i determinacya gwarantują zwycięstwo nad wrogiem.

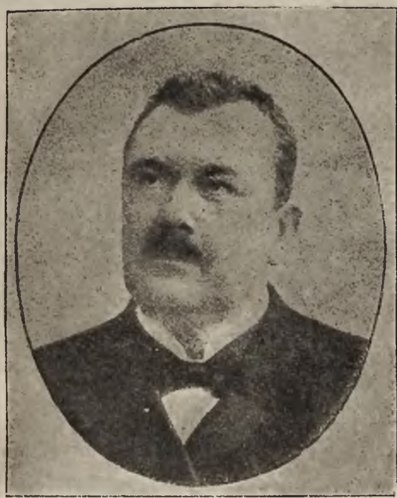


Nowy komendant Portu Artura: Wice-admirał Shibayama mianowany przez mikada komendantem Portu Artura.

Mimo sędziwego wieku nie wyrzekł i nie usunął się od pracy dla dobra publicznego, a zszedłszy do grobu, pozostawił za sobą żal powszechny u współobywateli, a zarazem wzór dla nich szlachetnego obywatela.



Ruch konstytucyjny w Rosyi: Książę W. M. Golicyn prezydent dumy moskiewskiej.



Ruch konstytucyjny w Rosyi: Książę Trubeckoj przewodniczący ziemstwa moskiewskiego.

Ruch konstytucyjny w Rosyi.

W Rosyi wrzenie wewnętrzne wzmaga się z każdym dniem. Ruch konstytucyjny, przybrawszy rozmiary szersze, wylał się z ciasnych sal obrad i bankietów inteligencyi rosyjskiej na ulice i bulwary w formie masowych i krwawych demonstracyj ludowych. Tu bohaterem jest tysiączny tłum, wołający o swe prawa, a z pośród mieszczaństwa i inteligencyi na naczelne i pierwsze stanowisko wysunęli się dwaj arystokraci z rodu: książę Golicyn, głowa Dumy rosyjskiej i książę Trubecki, naczelnik ziemstwa moskiewskiego.

Te dwie postacie w dzisiejszym ruchu konstytucyjnym wybiły się z szeregów inteligencyi rosyjskiej i były jednymi z pierwszych, którzy śmiało, odważnie i jawnie zaprotestowali przeciwko dzisiejszemu despotycznemu ustrojowi Rosyi.

Idąc za ogólnym ruchem, zapoczątkowanym przez Zjazd ziemstw, przesłał ks. Trubecki, jako naczelnik moskiewskiego ziemstwa w imieniu tego ż ziemstwa ks. Świątopełk-Mirskiemu adres, wystosowany do cara, za który przyjął całkowitą odpowiedzialność na siebie.

Adres wyłuszczał obszernie powody, które skłoniły ziemstwo moskiewskie do przesłania i zredagowania tego adresu do cara. „Rosya znajduje się obecnie w epoce anarchii i rewolucyi" — mówi adres ziemstwa. „To, co się obecnie dzieje, to nie tylko rozruchy młodzieży, lecz raczej odbicie obecnego ogólnego stanu, w jakim znajduje się społeczeństwo rosyjskie". „To, co się teraz dzieje, to nie zwyczajne rozruchy, ale rewolucya!"

Z pośród rezolucyj i adresów dum miejskich, ziemstw, kongresów i ciał profesorskich — adres księcia Trubeckiego był jednym z najgłośniejszych i dlatego podajemy podobiznę szlachetnego Rosyanina.

Druga podobizna przedstawia księcia Golicyna.

Ze wszystkich gmin miejskich — Duma Moskwy (Dumę czyli Radę miejską posiadają wszystkie większe miasta rosyjskie. Jest instytucya zupełnie autonomiczna, której nie posiadają miasta nierosyjskie), tej najstarszej siedziby i stolicy bizantyjskiego despotyzmu, podniosła dumnie głowę i wypowiedziała się nie w dwuznaczny sposób za konstytucyonalizmem. Dalej, gdy w dniach 18 i 19 grudnia zeszłego roku policya moskiewska urządziła istną rzeź na ulicach Moskwy w czasie demonstracyi na rzecz konstytucyi, Duma moskiewska z księciem Golicynem na czele wyraziła policyi swoje oburzenie z tego powodu i wraz z całą inteligencyą i ludem miasta Moskwy zażądała śledztwa w tej sprawie. Dumę poparł protest, podpisany przez 30.000 obywateli m. Moskwy, a równocześnie z tą akcyą Dumy — wyrok śmierci wydany na oberpolicmajstra Trepowa przez moskiewską organizacyę socyalistów-rewolucyonistów przyczynił się do usunięcia znienawidzonego przez wszystkich oberpolicmajstra.



Zgon matki prezydenta Francyi: Augusta Loubet. zmarła 15 b. m. w Marsanne.

Zgon matki prezydenta Francyi.

Przed niedawnym czasem doniosły dzienniki o śmierci sędziwej matki prezydenta Republiki. Pani Loubet zmarła w wieku 92 lat w rodzinnej wiosce Marsanne. Prosta wieśniaczka umiała jednak wykształceniem syna tak pokierować, że powołany na najwyższą państwową godność — okazał się Emil Loubet przygotowanym do ważnych swych obowiązków. Emil Loubet był bezsprzecznie jednym z najlepszych synów we Francyi. Matkę swoją, która nie chciała opuszczać wioski, odwiedzał jak często tylko obowiązki urzędowania pozwalały mu na to i nie wstydził się przed ludźmi ani staromodnego ubrania, ani spracowanych rąk swej rodzicielki. Tu na wsi stawał się innym człowiekiem: interesowało go gospodarstwo, dopytywał się troskliwie o wszystkie szczegóły i sam pomagał nieraz matce w domowych jej wiejskich zajęciach. Śmierć sędziwej matrony jest dotkliwym ciosem dla prezydenta, a zasmuciła ona nie tylko syna, ale i całą Francyę, która zaraz na wieść o żałobnym wypadku — pospieszyła z niekłamanemi oznakami żalu i współczucia dla swego prezydenta. Depesze kondolencyjne przesłali Loubetowi wszyscy niemal panujący świata, między innymi król angielski, włoski, cesarz austryacki i car.

Depesze redagowane w nader uprzejmych słowach — wyrażają żal i współczucie prezydentowi z powodu straty ukochanej matki. Podobne kondolencye otrzymał prezydent od wybitnych urzędników cywilnych i wojskowych i przedstawicieli arystokracyi tak we Francyi jak i zagranicą.

W ten sposób uczcili w Loubecie nietylko jedną z pierwszych figur politycznego świata, ale zarazem uznali w nim dobrego i kochającego syna, bolejącego po stracie ukochanej matki.



Zgon matki prezydenta Francyi: Dworek Loubetów w Marsanne, gdzie urodziła się i zmarła matka Loubeta.



20-letnia rocznica wzniesienia własnego gmachu „Sokoła“ we Lwowie: Grono nauczycielskie „Sokoła“ z Naczelnikiem swoim pośrodku.

20-letnia rocznica wzniesienia własnego gmachu „Sokoła“ we Lwowie.

Idea sokola, przeszczepiona z pobratymczego narodu czeskiego na nasz grunt, stała się w krótkim stosunkowo czasie najpopularniejszą ze wszystkich idei, ożywiających nasze społeczeństwo.



20-letnia rocznica wzniesienia własnego gmachu „Sokoła“ we Lwowie: Front gmachu „Sokoła“ przy ul. Zimorowicza.

„Sokół“ reprezentuje przedewszystkiem drogie nam hasła: Miłości Ojczyzny i braterstwa słowiańskich ludów. To też w myśl tej wzniosłej zasady występuje zawsze jako dzielna organizacya narodowa w ważniejszych chwilach naszego życia społecznego. Bez udziału „Sokołów“ nie odbędzie się żaden obchód narodowy, żaden pogrzeb wybitnego człowieka, nie rozegra się żaden radosny czy smutny moment porozbiorowych dziejów naszej Ojczyzny. „Sokół“ organizuje prócz tego na własną rękę zjazdy sokole tak w granicach naszego kraju, jak i w zaprzyjaźnionych z nami sąsiednich słowiańskich krajach.

Jako najbliższy realny, że tak powiem, cel — postawił sobie „Sokół“ hasło: „W zdrowem ciele zdrowa dusza“. W myśl tej zasady pracuje od ćwierć wieku, by gimnastyką racyonalnie i systematycznie udzielaną i szerzeniem zamiłowania do sportu — uzdrawiać i wzmacniać fizycznie pokolenia całe. Cel zaiste piękny i wzniosły. W zakres działalności sokolej szkoły wchodzą tedy wszystkie możliwe sporty, przyczyniające się do rozwoju fizycznego. „Sokół“ uprawia zatem gimnastykę w najszerszem słowa znaczeniu, jazdę konną, szermierkę, pływanie, wioślarstwo, jazdę na kole, atletykę i gry towarzyskie na wolnem powietrzu.

Metropolią galicyjskich gniazd sokolich jest lwowski „Sokół“, który w grudniu z. r. święcił 20-letnią uroczystość przeniesienia swej siedziby do własnych murów.

„Sokół“ lwowski tułał się początkowo po obcych, szukając u nich czasowego przytułku. I tak w pałacu Hechta przebywał do roku 1878, stąd przeniósł się następnie do sali Thierego. Lecz ciasno i nieswojo było „Sokołowi“ u obcych w gościnie; okazała się gwałtowna potrzeba budowy własnego gniazda. Myśl ta wcześnie, bo już w r. 1867 została podniesioną. Rozpisano składki, urządzano zabawy i obchody na dochód mającego budować się gniazda.



20-letnia rocznica wzniesienia własnego gmachu „Sokoła“ we Lwowie. Naczelnik „Sokoła“ Antoni Durski.

Trwało jednak dość długo, nim piękna myśl w czyn wprowadzoną być mogła. Dopiero w r. 1884 ukończono kompletnie budowę własnego domu, do którego tryumfalnie drużyna „Sokoła“ się wprowadziła. Dziś liczy „Sokół“ lwowski niemało członków, a w z. r. — w 20-letnią rocznicę założenia własnego gniazda, okazało się, że liczba ich dosięga poważnej cyfry 1700.



Arcyksiążę Józef na śmiertelnej pościeli: Arcyksiążę w mundurze węgierskich honwedów.

Pod dzielnem kierownictwem zasłużonego dla sprawy sokolej naczelnika, druha Antoniego Durskiego, rozwija się z dnia na dzień lwowski „Sokół“. W niniejszym numerze podajemy portret naczelnika lwowskiego „Sokoła“, p. Antoniego Durskiego. Zbiorowa fotografia wyobraża dorodne grono nauczycielskie, wśród którego widzimy: naczelnika wraz z jego synem, pp. St. Staszczyka, Ferdynanda Hamburgera, Jana Wolskiego i innych. Trzecia rycina przedstawia front gmachu „Sokoła“ przy ul. Zimorowicza we Lwowie.

Arcyksiążę Józef na śmiertelnej pościeli.

Jedną z najsympatyczniejszych postaci domu panującego — jest po samym Monarsze — arcyksiążę Józef. Sędziwy, bo z górą 72 lat liczący kuzyn cesarza, urodził się w r. 1833 w Preszburgu, jako syn byłego palatyna, arcyksięcia Józefa.

Blask dworu nie nęcił nigdy arcyksięcia. Usunął prawie z widowni wielkiego świata, obrawszy sobie Węgry jako stały kraj pobytu. To też nigdzie w całej monarchii nie jest arcyksiążę Józef tak lubiany, nigdzie nie cieszy się tak niezmierną popularnością, jak wśród dzielnych Madziarów. Arcyksiążę zasłużył też w całej pełni na ich miłość i przywiązanie. Jako urodzony na węgierskiej ziemi, czuje się całą duszą i sercem Węgrem, cały jego dwór i otoczenie z Węgrów się składa, a nawet on sam i dzieci jego, których ma sześcioro, ubiera modą węgierską. Można powiedzieć, że arcyksiążę Józef oddał najlepszą cząstkę swej szlachetnej duszy — umiłowanym przez siebie Madziarom. Dokonał znakomitej organizacyi honwedów; za jego też staraniem powstały na Węgrzech liczne dobrze wyćwiczone i wyposażone straże pożarne. Budapeszt zawdzięcza również niejedno wspaniałomyślnemu sercu arcyksięcia.

Nie tylko jednak na tem ograniczyły się zasługi jego. Arcyksiążę nietylko pod względem ekonomicznym pracował nad rozwojem kraju, ale i naukowo zajmował się jego historyczną przeszłością i stosunkami ludności. Liczne jego prace literackie w języku węgierskim pisane, cieszą się wziętością u przybranych jego rodaków.

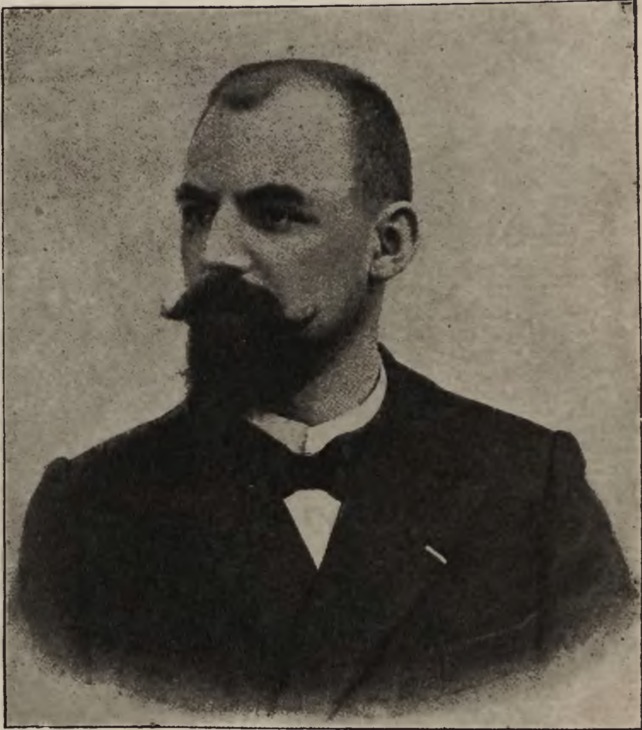
W dowód uznania swych zasług na tem polu, został dostojny uczony mianowany doktorem „honoris causa“ wydziału filozoficznego na peszteńskim uniwersytecie.

Ciekawe zwłaszcza są prace arcyksięcia z zakresu ludoznawstwa — odnośnie do życia cyganów. Poetyczny, wrażliwy jego umysł pociągało zawsze romantyczne to wędrowne plemię. Otaczał ich też zawsze swoją sympatyą i opieką. Tysiączne krążą też między cyganami legendy o postaci arcyksięcia, któremu między sobą nadali oryginalny a niezwykły tytuł „króla cyganów“.

Od niejakiego czasu sędziwy uczony dostojnik zaniemógł ciężko. W willi swojej Giuseppe we Fiume, przykuty do łoża boleści oczekuje ze spokojem i poddaniem chwili, kiedy Przedwieczny do Swojej chwały go powoła.

Z historyi wolnomularstwa we Francyi.

M. Vadécard, który z każdym niemal dniem zyskuje na rozgłosie, jest sekretarzem generalnym loży masońskiej: Wielkiego Wschodu we Francyi. Osobistość, która w ostatnich dniach odegrała historyczną we Francyi rolę i spowodowała ustąpienie ministra Andréego i głośne zajście z nacyonalistą Syvetonem, nie mogła pozostać nieznaną szerszemu ogółowi i z zachłanną ciekawością poczęto szukać szczegółów życia, którymi dzienniki francuskie zapisywały całe szpalty.



Z historyi wolnomularstwa we Francyi: M. Vadécard sekretarz generalny „Wielkiego Wschodu“ w Paryżu.

Syn rodziny robotniczej, ukończywszy chlubnie szkoły, osiągnął godność notaryusza. Odsłużywszy przy wojsku jako artylerzysta, wstąpił do „Wielkiego Wschodu“, gdzie otrzymał początkowo posadę w centralnej administracyi. Wkrótce zyskał zaufanie powszechne i zostaje szefem w podsekretaryacie, a w końcu sekretarzem generalnym loży Ten tytuł, jego zdolności administracyjne jako zarządzającego funduszami szkół wczternastym okręgu paryskim, współpracownictwo w różnych dziennikach i miesięcznikach republikańskich, przyniosły mu w styczniu zeszłego roku odznaczenie czerwoną wstęgę. Lecz, żeby módz uzupełnić ten obraz człowieka głośnego w całym świecie, trzeba dodać kilka słów o jego wyglądzie. Portret, który obok zamieszczamy, da czytelnikom naszym dokładne wyobrażenie o głównych cechach, dających się wyczytać z jego twarzy. Jest to jeden z najlepszych i najrzadszych portretów Vadécarda. Na twarzy jeszcze młodej (Vadécard liczy zaledwie 38 lat), każdy dostrzeże rysy wrodzonej łagodności a zarazem stanowczości w dążeniu do celu. W stosunkowo dość młodym wieku wybił on się ponad innych zdolnościami i sumiennością w spełnianiu swych obowiązków.

Daleki od wypierania się swego niskiego pochodzenia — Vadécard szczycił się tem, że jest dzieckiem ludu.

Jako sekretarz generalny loży, udzielał ministrowi wojny wiadomości o przekonaniach politycznych oficerów i oświadczył, że czynił to na wyraźne żądanie samego ministra.

Walka dwu partyj republikańskiej i nacyonalistycznej, dążącej do zupełnego obalenia republiki i wskrzeszenia cesarstwa nie przebiera w środkach tak ze strony jednych jak i drugich. Stojąca obecnie u steru rządów partya republikańska obawiając się zamachu ze strony nacyonalistów, śledziła oficerów, których podejrzywała o przekonania nacyonalistyczne — a pomocną nadzwyczaj w tem była jej loża z Vadécardem na czele.

Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie.

Kiedy przechodzimy koło pięknego budynku Muzeum — uprzytomniamy sobie, jaką to stosunkowo dość znaczną ilość różnych zakładów, muzeów, bibliotek posiada nasz kraj dzięki ofiarności publicznej i poszczególnych wybitniejszych jednostek.

Fundatorem muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie jest hr. Włodzimierz Dzieduszycki, znany powszechnie jako przyrodnik nie tylko u nas, lecz i za granicą. Urodził on się w Jaryszowie, w gubernii podolskiej, 22 czerwca 1825 roku, a otrzymawszy w domu staranne wychowanie, już od wczesnej młodości poświęcił się nadzwyczaj gorliwie studyom nad przyrodą krajową, a szczególnej badaniom ornitologicznym. To pobudziło go do robienia zbiorów przedmiotów do przyrody krajowej należących, które w muzeum im. Dzieduszyckich, umieszczono w specyalnie na ten cel w 1855 r. nabytym budynku. W skład tego muzeum wchodzą bogate zbiory etnografii krajowej, cenne zbiory numizmatyczne i olbrzymia, wielkiej wartości biblioteka ojca hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego,



Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie: Gmach muzeum przy ul. Teatralnej.



Nowy rzeźbiarz polski: „Garncarz", dzieło G. Kuźniewicza, zakupione przez lwowskie Muzeum przemysłowe.

uzupełniona przez księgozbiór samego fundatora. Jest to w swoim rodzaju jedno z najcelniejszych muzeów, które hojny ofiarodawca oddał na własność społeczeństwu.

Hr. Wł. Dzieduszycki opiekował się nauką gorliwie i w inny sposób spełniał zadanie żarliwego mecenasa nauki: oto jego nakładem okazało się kilka cennych prac naukowych. Ale i sam nie ustawał w pracy i jej owocem jest wydanie przez niego książki: „Nasze zwierzęta kręgowe, stałe i wędrowne", która została przyjęta przez wszystkich z uznaniem.

Oprócz wydatnej pracy na polu naukowem — brał hr. Dzieduszycki czynny udział w życiu publicznem i politycznem jako poseł do Sejmu.

Nowy rzeźbiarz polski.

Czas rączym bieży teraz krokiem. Jak w kalejdoskopie przewijają się dziś coraz to nowsze myśli, nowsze prądy — ludzie, choć nie zdołali jeszcze wypowiedzieć swego ostatniego słowa, muszą innym ludziom ustąpić miejsca — nowe pokolenia dojrzewają szybko i stają do współzawodnictwa ze „starymi", chociaż ci „starzy" mają jeszcze wszelkie prawa liczyć się do młodych. Na polu literatury, sztuki dramatycznej, malarstwa i rzeźbiarstwa, co chwila zjawiają się nowe talenty, które śmiało sięgają po laury, wieńczące jeszcze skroń innych...

Do rzędu tych ostatnich należy między innymi młody rzeźbiarz lwowski Grzegorz Kuźniewicz. Do niedawna jeszcze nazwisko tego artysty znała niewielka grupka osób — znało je tylko najbliższe otoczenie rzeźbiarza i jego profesorowie, którzy rokowali mu piękną przyszłość.

Na horyzoncie artystycznym talent Kuźniewicza zabłysnął — rzec można — nagle. Z młodu poświęciwszy się sztuce rzeźbiarskiej, nad wydoskonaleniem swych wrodzonych zdolności pracował z ogromnym zapałem zrazu we Lwowie, a następnie w Rzymie, gdzie kształcił się pod kierunkiem pierwszorzędnych mistrzów, których imiona i prace zdobyły sobie wszechświatową sławę.

Ukończywszy studya, Kuźniewicz opuścił starożytną Romę, powrócił do kraju, osiadł we Lwowie i tu począł pracować, tu dopiero wstąpił w szranki i sięgnął po wieniec zwycięzcy.

Nie wiele prac wyszło z pracowni młodego artysty, ale te, które ujrzały świat boży, noszą na sobie piętno niepośledniego talentu, wielkich zdolności i sumiennego zawodowego wykształcenia.

Jego „Kosiarz", zakupiony przez warszawskie Towarzystwo Sztuk Pięknych, wzbudził ogólny zachwyt tak wśród krytyków, jak i wśród całej publiczności. Biust ś. p. Stanisława Szczepanowskiego, odlany w bronzie przez pracownię Sknurzyla, w zeszłym roku zdobiący wystawę metalową w Krakowie, a obecnie umieszczony na grobowcu zmarłego, jest dowodem, że młody artysta posiada wysoką umiejętność portretowania, co chyba nie należy bynajmniej do łatwych zadań w dziedzinie rzeźby.

Najlepszem jednak dotychczas jego dziełem jest bezwarunkowo „Garncarz", wykonany w roku 1901 podczas pobytu artysty w Rzymie, a zakupiony przez lwowskie Muzeum Przemysłowe.

Na złomie skały przysiadł herkulesowej postawy zdun zaopatrzony w amforę ugniecioną własnymi rękoma. Oczy utkwił w swem dziele, a prawa ręka uzbrojona w rylec zdaje się drżeć. Chwila uchwycona przez artystę, przedstawia ten moment, który w malarstwie nazywa się: „ostatniem pociągnięciem pędzla". Prosty pomysł, wspaniały rysunek, silny a czysty i drobiazgowe wykonanie, to cechy tej rzeźby, którą podajemy w reprodukcyi, a która dzięki zarządowi lwowskiego Muzeum pozostała w kraju, miast pójść zdobić pałac jakiegoś zagranicznego arystokraty lub plutokraty.

Pierwsze te występy młodego rzeźbiarza uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Przed Kuźniewiczem ściele się droga do sławy i nie należy wątpić, że niebawem stanie on obok Godebskich, Laszczków, Dunikowskich i Biegasów, reprezentując godnie wraz z nimi nasze polskie rzeźbiarstwo.

Wiceprezydenci nowo ukonstytuowanej rady miejskiej w Czerniowcach.

W ubiegłym tygodniu odbyło się pierwsze posiedzenie nowej rady miejskiej w Czerniowcach poświęcone ukonstytuowaniu się.

Na 50 radnych zjawiło się 48. Komplet prawie niebywały. Nadzwyczaj tłumne audytoryum już przed godziną oznaczoną, przepełniło wszystkie miejsca. Ze spokojem i powagą zagaił obrady prezydent miasta p. Antoni br. Kochanowski, witając członków rady i przedstawiając zadania, jakie oczekują na ich pracę.

Pierwszym wiceprezydentem miasta wybrany został



Fot. L. Koehler. Lwów.

Nowy rzeźbiarz polski: Grzegórz Kuźniewicz wsparty o biust ś. p. Szczepanowskiego w swojej pracowni.



Wiceprezyd. nowej rady miejskiej w Czerniowcach: Dr. Edward Reiss, pierwszy wiceprezydent miasta.

ponownie radca rządu i adwokat Dr. Edward Reiss jednogłośnie.

Nowy wiceprezydent jest przejęty szczerą chęcią pracy dla dobra miasta i jego wszystkich mieszkańców, jak to już niejednokrotnie czynami swymi stwierdził.

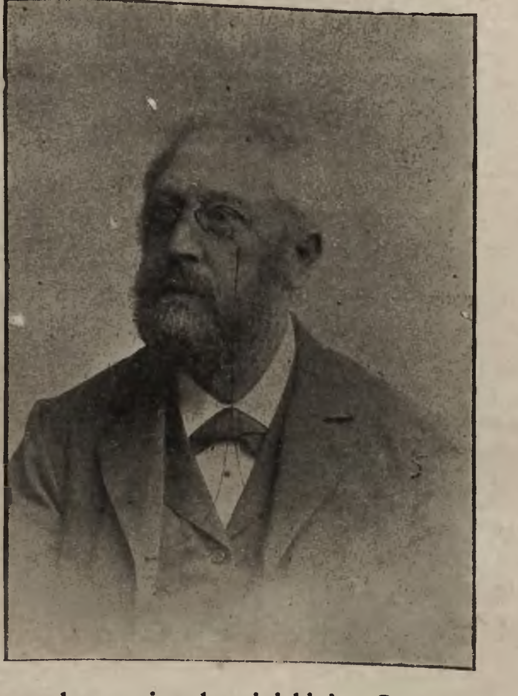
Jest to mąż, który nietylko w ściślejszem gronie stronnictwa, do którego należy, cieszy się szczerą sympatyą, lecz ową bezstronnością umiał sobie pozyskać względy i poważanie innych narodowości.

Podnieść również należy, że w odniesieniu się do nas nie kierował się on nigdy stronniczością partyjną, owszem nieraz dawał nam dowody wprost życzliwego stanowiska. Świadczy o tem, wystąpienie jego w obronie słusznych naszych żądań przy sposobności dyskusyi w radzie miejskiej nad petycyami naszej sekcyi dobroczynności o subwencyę i Towarzystwa bursy im. Adama Mickiewicza, o odstąpienie gruntu pod budowę własnego domu; jego to poparciu zawdzięczamy nader korzystne załatwienie obu ważnych spraw w radzie miejskiej.

Drugim wiceprezydentem wybrany również ponownie radca budownictwa p. Józef Gregor.

Miasto, liczące wraz z przedmieściami około 70.000 mieszkańców, dzięki zapobiegliwości usilnej pracy prezydenta miasta br. Antoniego Kochanowskiego, który w usiłowaniach wspierany przez obu wiceprezydentów radcę rządowego Dra Edmunda Reissa i radcę budownictwa Józefa Gregora, zdołał w gospodarce miejskiej przeprowadzić znaczne korzystne zmiany i w ciągu ostatnich lat zmienić jego fizyognomię do niepoznania.

Pełnym zapału i energii tym pracownikom nad rozwojem miasta sekunduje w ich usiłowaniach dyrektor magistratu i poseł miasta Czerniowiec Józef Wiedman, przyjmując na swe barki wykonanie tego wszystkiego, co inicyatywa ze strony jego przełożonych uznała za niezbędne i korzystne dla miasta.



Wiceprezyd. nowej rady miejskiej w Czerniowcach: Józef Gregor, drugi wiceprezydent.

Zgon W. Księżny sasko-wejmarskiej.

Na prastarym zamku wejmarskim powiała śmierć czarnem swem skrzydłem. Młodziutka i piękna księżna sasko-wejmarska, Karolina, po krótkich cierpieniach rozstała się z tym światem. Zmarła — kobieta niezwykłej urody i wdzięku — była żoną W. Ks. Wilhelma Ernesta, a córką księcia Reuss Henryka XXII. Urodziła się w r. 1884 w mieście Greiz, a w dziecięcym wieku utraciwszy rodziców, wychowywała się na dworze swojego wuja, księcia Schaumburg-Lippe. W r. 1903 wyszła za mąż. Pożycie młodej pary było nad wyraz szczęśliwe. Tryb życia małżonków był nader umiarkowany, bez wystawności i blasku, jaki zazwyczaj dwór panujący roztacza. Księżna umarła na zapalenie płuc, a śmierć jej okryła żałobą spokrewnione domy panujących w Bückenburgu, Berlinie i w Haadze.

Złośliwa choroba, jakiej uległa młoda księżniczka, zaczęła się zwyczajną influenzą, która przybierała coraz ostrzejsze formy. Pomimo porady lekarza, nie chciała jednak położyć się do łóżka, lecz ufając w siłę organizmu i młodość swoją — chciała niedyspozycyę przebyć „na nogach“. Dopiero gdy pojawiła się gorączka i silne kłucie w piersiach — zdecydowała się chora położyć do łóżka. Pomimo, że przebieg choroby zapowiadał się od samego początku nie dobrze, nie wątpił mąż i najbliższe otoczenie księżnej, że kryzys minie



Zgon W. Księżnej sasko-wejmarskiej: Księżna Karolina, zmarła 17 b. m.

szczęśliwie. Niestety! było już zapóźno: z influenzy wywiązało się groźne zapalenie płuc, któremu w przeciągu kilku dni uległ silny organizm pacyentki.

Arcyksiężna nie pozostawiła dzieci — opłakują jej śmierć natomiast siostry Hermina i Ida, które do ostatnich chwil czuwały przy jej łożu śmierci — i nieutulony w żalu małżonek, który oczywiście po odbyciu etykietalnej żałoby — z pewnością się ożeni. Takiego postępowania panujących wymagają względy dynastyczne.

Dodatkowo nadmieniamy, że prócz dwóch młodszych sióstr posiadała nieboszczka jeszcze dwie starsze: ks. Emę, wydaną w r. 1903 za hr. Eryka Künigl i ks. Maryę, poślubioną w r. 1904 baronowi Gniagnoni. Brat zmarłej ks. Henryk XXIV Reuss jest od dłuższego czasu umysłowo chorym.

Ś. p. Karol Hruby.

Znów ze szczupłego grona zacnych obywateli-przemysłowców wyrwała nieubłagana śmierć wybitną jednostkę, niestrudzonego pracownika na niwie handlu i przemysłu ojczystego. W dniu 11 stycznia b. r. zmarł we Lwowie w sile wieku, nie liczył bowiem więcej nad 45 lat — znany szerokim kołom społeczeństwa: inżynier ś. p. Karol Hruby. Z urodzenia i pochodzenia Czech — potrafił się ś. p. Karol tak zaaklimatyzować, tak przylgnąć całą duszą i sercem do polskiego społeczeństwa, że sam uważał się za członka tego narodu i za takiego był też uważany. Najlepszym dowodem tego, że należał nawet do Koła literackiego we Lwowie, a dla stowarzyszenia tego położył wielkie zasługi. Nie przeszkadzało mu to jednak pamiętać i o dawnej swej ojczyźnie — a w lwowskiej czeskiej „Besedzie“ był jednym z najczynniejszych członków.



Wiceprezyd. nowej rady miejskiej w Czerniowcach: Józef Wiedmann, dyrektor magistratu i poseł do Rady państwa z miasta Czerniowiec.

Ś. p. Karol Hruby ukończył szkołę realną we Lwowie, a następnie odbył studya w Wiedniu. Po krótkim pobycie w Krakowie, osiedlił się stale we Lwowie, gdzie wszedł w spółkę z jedną ze znanych firm instalacyjnych.

Zmarły pozostawił opłakujących zgon jego przyjaciół i osierocił żonę, która w rozpaczy po stracie ukochanego towarzysza — usiłowała sobie życie odebrać.

W przystępie żalu zażyła nieszczęśliwa kobieta znaczną ilość sublimatu. Gdy w otoczeniu spostrzeżono, iż p. Hrubowa targnęła się na własne życie — zawezwano natychmiast pomocy lekarskiej. Pomoc ta nie byłaby spóźnioną, gdyby nie okoliczność, że pani Hrubowa nie pozwoliła się ratować — nie pomogły perswazye ani usiłowania, by siłą wprowadzić w organizm denatki odpowiednią odtrutkę.

Przez zaciśnięte kurczowo zęby, ani kropla zbawiennego lekarstwa przedostać się nie mogła. Jak bardzo była ś. p. Hrubowa przywiązaną do swego męża — do jakiego stopnia doszła jej rozpacz po stracie ukochanego — można już z tego brać miarę, że nie powstrzymała jej w samobójczym zamachu myśl, iż osieraca jedyne swe dziecię. Pogrzeb ś. p. Hrubowej odbył się w kilka dni po pogrzebie jej męża. Tragiczny ten wypadek głęboko poruszył Lwów cały — i niezliczone tłumy odprowadziły zwłoki wiernej żony na miejsce wiecznego spoczynku, gdzie znowu — i na wieki już połączyła się z ukochanym swym mężem.



Ś. p. Karol Hruby: Zmarły niedawno we Lwowie inżynier Karol Hruby.

Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

18 (Ciąg dalszy).

— Dlaczego się wahasz?

Jeszcze mam zdrową głowę i nie chciałbym jej stracić. Gdybym sobie tak ni stąd ni zowąd przyszedł do księcia i powiedział mu, żem zełgał, toby mnie wsadził do ula.

— Wtedy jabym cię wyswobodziła.

— Jużcić! coby nie? A jakże! Gadaj sobie zdrowa koleżaneczko. Tobyś dopiero wtedy podskoczyła, gdyby mnie zamknęli, a nawetbyś pomogła do tego. żeby mnie po gardle połaskotali.

— Powiesz księciu, że cię do kłamstwa namówił marszałek Wurm, i że hrabianka Landesberg zapłaciła ci za to grube pieniądze. Książe w to uwierzy, a ciebie nietylko nie ukarze, ale jeszcze hojnie wynagrodzi. Gdy to powiesz, wtedy możesz już być zupełnie spokojnym o siebie, bo jabym takiego świadka nie chciała się przecież pozbyć. I gdziekolwiek zaczętoby coś gadać, stawałbyś na świadectwo, że to wszystko są bajki, wymyślone przez Wurma i hrabiankę, jak o tem sam wiesz najlepiej, bo ci za to zapłacono, abyś je rozsiewał. Rozumiesz teraz? co?

— Niby w tem jest jakaś racya. Dobry figiel, wszystko zwalić na marszałka i hrabiankę. A jak mi staną do oczu i wyprą się wszystkiego.

— To im ty będziesz w oczy mówił, że cię namówili i zapłacili.

— Koleżanko! Klaruńciu! Daj buzi. Rozum masz jeszcze większy od mojego.

— Nie namyślaj się długo; trzeba działać szybko, trzeba natychmiast udać się do księcia i powiedzieć, że cię sumienie wzruszyło, że chcesz naprawić krzywdę, wyrządzoną pani i dobrodziejce swojej siostry.

— Fiu, fiu! Coraz lepiej, coraz więcej. I to wszystko mam zrobić za połowę Adlersfeldu? Ani mi się śni. Pogadajmy rozumnie. Jeżeli to wszystko zrobię, czego chcesz, to choćby nawet książę uwierzył, a nawet mnie wynagrodził, na nic mi się nie przyda, bo mnie marszałek przez zemstę przycapi i kark mi skręci. A przytem na majątki i pieniądze nie taki ja znowu łakomy, jak ci się wydaje. Nauczyłem się już tak sobie radzić, żebym się obszedł i bez Adlersfeldu. Ale ty wiesz koleżanko, dlaczego ja cię tak ścigam. Powiedziałem ci, pamiętasz, co? no wtedy, gdy Elwira wpadła pod scenę, że okupisz sobie u mnie wieczyste milczenie, jeżeli nie będziesz mną gardziła, jeżeli mnie nie odepchniesz, abyś była moją, choćby tylko na jedno uścišnienie. Dziś zrobiłbym dla ciebie wszystko, co zechcesz, jeżeli mi samą sobą zapłacisz, jeżeli mi jedną chwilę dasz taką, jakie inni miewali u ciebie codziennie. Widzisz, jak do ciebie przemawiam górnolotnie, bo mi się jeszcze teatr przypomina. Ale na co tych ceregieli; po prostu ci powiem: kochaj mnie, a zrobię wszystko, co zechcesz.

— Bezczelność! — krzyknęła Klara.

— Bądź zdrowa! — odpowiedział Ludwik i zwrócił się ku drzwiom.

— Zaczekaj! Dam ci połowę Adlersfeldu.

— Nie, nie Klaruńciu! Oddasz mi cały Adlersfeld i swoje serduszko, choćby na godzinę. Szkoda czasu, targi nie pomogą.

W mowie Ludwika brzmiała piotrowska stanowczość; Klara znała go dobrze. Ale musi się ocalić za wszelką cenę! Wstręt przedłużał wahanie. Nastała chwila milczenia. Ludwik wpatrywał się z tygrysią chciwością w pomieszaną piękną twarz Klary, a gdy spostrzegł, że zakłopotanie jej wzrasta, rzekł obojętnie:

— Czy odejść?

— Zostań i siadaj.

Przysunęła mu papier, pióro i atrament.

— Napisz list do księcia, i w tym liście masz wyraźnie oświadczyć, że kłamałeś, przekupiony przez marszałka i hrabiankę. Ten list zostanie u mnie na wypadek, gdybyś nie dotrzymał przyrzeczenia i księciu osobiście tego wszystkiego nie powiedział.

Ludwik list napisał i trzymając go w ręce rzekł:

— A teraz ty koleżanko napiszesz akt, w którym odstępujesz mi całkowicie dobra Adlersfeld. Te pisma pomieniamy w chwili, gdy się dowiem, jak twoje usta księciu smakują.

Za wszelką cenę! pomyślała Klara, za wszelką cenę muszę pozostać księżną!

Zamknęła na klucz drzwi buduaru.

* * *

Pan dziedzic.

Smutno było w starym dworze baronów Adlersfeldów. Ucieszyła się baronowa owym telegramem, który jej proboszcz przyniósł. Dziękowała Bogu, że Ryszard z Hanią dostali się szczęśliwie za granicę, ale już we dwa tygodnie potem nadeszła, pod adresem proboszcza wieść hiobowa o rozbiciu statku, o śmierci Hani. Ryszard nie pisał wprost do matki, lękając się, aby policya listów nie przejmowała. Doniósł o wszystkich nieszczęściach pod adresem proboszcza. Nastepny list pocieszył baronową, bo dowiedziała się z niego, że Ryszard znalazł takie serdeczne ognisko rodzinne u Freudenbergów.

Upatrywała w tem dziwne zrządzenie Boże. Ojciec matki Freudenbergów był po śmierci rodziców opiekunem młodszego brata. Skrzywdził go, zatrzymując dla siebie większą i lepszą część majątku, a przytem zataił i przywłaszczył sobie pozostawione przez ojca kapitały. Brat nie chciał potem szarpać i poniewierać starego nazwiska przed kratkami sądowemi, zniósł krzywdę, zdał wszystko na sprawiedliwość boską, ale odsunął się od brata, tak, że ich dzieci już się nie znały, tylko wiedziały o sobie. A temi dziećmi owych braci: baron Adlersferd, ojciec Ryszarda i baronówna Adlersfeld, zamężna Freudenberg, matka tego, który teraz po ojcowsku zaopiekował się Ryszardem. Ryszard był więc stryjeczno-ciotecznym bratem swego opiekuna, Freudenberga.

O tych stosunkach wiedziała baronowa bardzo dobrze od swego meża, dlatego też upatrywała w tem zrządzenie boże.

W samotnym dworze, opuszczona przez najbliższych nawet przyjaciół, jednego tylko baronowa miała powiernika, jednego towarzysza i przyjaciela, starego Bertolda. Toteż każdy list odczytywała mu i to po kilka razy. Listy te tworzyły przedmiot codziennych rozmów. I teraz właśnie siedzi baronowa w starym mężowskim fotelu, trzymając list w ręce, a Bertold stoi w pobliżu, uradowany widocznie, bo uśmiechnięty poczciwie.

— Zacni ludzie! — rzekła baronowa.

— Ba! Dla naszego panicza... przepraszam panią baronową, chciałem powiedzieć: dla młodego pana barona, każdy musi być dobrym, kto go pozna. Chyba by też Boga w sercu nie miał, żeby go nie kochał. O Boże, Boże! jakie to poczciwe. Nikomu to nigdy krzywdy nie zrobiło, złote serce; onby nawet muchy nie zabił.

— Poczciwy Bertoldzie! Niech ci Bóg nagrodzi to szlachetne przywiązanie. Czy ja też kiedy zobaczę to dziecko moje?

— Będzie wszystko dobrze. Pan Bóg sprawiedliwy.

Usłyszano turkot przed domem.

— Słyszałeś Bertoldzie? Ktoś zajechał. To coś niezwykłego. Proboszcz chodzi tu zwykle piechotą.

Bertold wyszedł i zobaczył w miejskim fiakrze jakiegoś dziwacznie wyglądającego, młodego człowieka. Ów młody człowiek, spostrzegłszy Bertolda zawołał szorstko:

— Hej! stary! Chodźno tu bliżej. Czy baronowa w domu?

— Tu u nas nie ma zwyczaju, żeby przed zajazdem wyprawiać krzyki, odpowiedział Bertold, oburzony zuchwałością przybysza.

— Nie urągaj stary, bo ci się jeszcze co oberwie — rzekł przybysz i wysiadł z fiakra.

Bertold podszedł ku niemu i zmierzywszy go surowo od stóp do głowy, zapytał energicznie:

— Co za interes?

— Powiem, ale nie tobie, tylko twojej pani.

— Pani baronowa nie przyjmuje pierwszego lepszego. Trzeba powiedzieć kim się jest i jaką się ma sprawę.

— Taaak? Wielkie państwo! Powiedzże przyjacielu swojej pani, że przyjechał pan dziedzic do swoich dóbr.

Bertold spojrzał na przybysza ze zdumieniem i mruknął:

— Waryat, dalibóg waryat. Trzeba uprzedzić panią baronową i zwołać służbę.

Nic nie odpowiedziawszy przybyszowi, wszedł do dworu. Wtem otworzyło się okno i ukazała się w niem baronowa. Przybysz ją zobaczył i zawołał, kłaniając się niezgrabnie:

— Najniższy sługa pani baronowej dobrodziejki. Mam interesik, pilny interesik.

Nie czekając odpowiedzi, wszedł przybysz do dworu i śmiało otworzył drzwi do pokoju, w którym była baronowa. Tuż za nim wszedł Bertold i stanął za baronową.

Przybysz oddawał eleganckie ukłony, przyczem wyglądał karykaturalnie. Baronowa ze zdumieniem i jakimś wstrętem spoglądała na przybysza.

— Kto pan jesteś i czego sobie życzysz? — zapytała baronowa sucho i z godnością.

— O! nie tak z góry, nie tak z pańska. Musisz pani przecież wiedzieć, że ten majątek ma już innego właściciela.

— To waryat pani baronowo — krzyknął Bertold. Trzeba go związać i odstawić do miasta.

— Stulże gębę stary trutniu — zawołał przybysz ze złością i uderzył pięścią w stół. Do nowego pana przemawiaj z uszanowaniem. Jestem pan dziedzic majątku Adlersfeld.

— Jakto?... Pan... pan... kupiłeś te dobra? — mówiła baronowa z przerażeniem.

— Czym kupił, czy nie kupił, to wszystko jedno, dość, że jestem ich właścicielem. panem i dziedzicem.

— To nie może być — rzekła baronowa spokojnie. Wszakże byłabym o tem z urzędu otrzymała zawiadomienie.

— Jeżeli o pisanie chodzi — rzekł przybysz, to je pani czytaj.

Przybysz podsunął akt, przez Klarę podpisany, pod same oczy baronowej:

— Wszak wyraźnie, co? Waścicielka majątku, owdowiała pani Sterneg, a obecnie księżna pani, mnie go przekazuje na własność, jako spadkobierczyni Izabeli Kronberg.

— Izabela Kronberg przed śmiercią spaliła wszystkie papiery, więc ani jej pretensye do dóbr Adlersfeld nie zostały ustalone, ani też nie ma dowodu na to, że owa pani Sterneg została jej spadkobierczynią — rzekła baronowa.

— Pani wie jedno, a ja wiem drugie. Młody baron Adlersfeld syn pani, spalił owe papiery, zanim Izabelę zamordował, ale...

— Milcz pan! mój syn nie zamordował nikogo.

— Przecież za morderstwo uwięziony.

— Uwięziono go niesłusznie i niesprawiedliwie.

— Niech i tak będzie. Mnie to wszystko obojętne. Otóż owe papiery spalone, ale Izabela Kronberg zeznała w akcie notaryalnym, że spłaciła wszystkie długi barona Adlersfelda i udowodniła to, przedstawiając weksle i obligi, i w tymże akcie przekazuje wszystkie te sumy, które zapłaciła, na własność pani Sterneg. Ponieważ te sumy przewyższają nawet wartość tych dóbr, zatem kto jest ich właścicielem, jest przez to samo właścicielem Adlersfeldu.

— Przepraszam panią baronową — wtrącił Bertold, że się tu odezwę. Nie uczyłem się adwokackich wykrętów, ale na prosty rozum wszystko przymierzam. Dobra przecież nie sprzedane, tylko ciążą na nich długi, więc wierzyciel musi nas dopiero pozywać o zapłatę, a jakbyśmy nie zapłacili, wtedy dopiero wdałby się sąd, majątek sprzedał na licytacyi, a możeby go kupił uczciwy człowiek, a nie jakiś urwipołeć.

— Pani baronowa ma takiego mądralę fagasa.

— To mój najlepszy przyjaciel — odpowiedziała baronowa poważnie, i ubliżać mu nie pozwalam.

— Jak się podoba, mnie to wszystko obojętne. Jeżeli pani baronowa dobrowolnie nie oddasz mi tego majątku, to będzie dla pani gorzej. Jeżeli mi go pani odstąpisz natychmiast, to panią w nim zostawię, dopóki nie znajdę kupca, bo ten majątek chcę sprzedać. Jeżeli się pani nie zgodzisz, to znajdę sobie adwokata, co pani prędko poradzi i bez miłosierdzia stąd wypędzi.

— Łotrze! — zawołał Bertold i przyskoczył z zaciśniętemi pięściami do przybysza. Śmiesz grozić wypędzeniem, grozić baronowej Adlersfeld? Coś ty za jeden? Jak się ty nazywasz chłystku jakiś?

Baronowa dopiero teraz spojrzała uważnie na ów akt, podpisany przez Klarę. Papier wypadł jej z ręki, krew jej uderzyła do głowy, oczy błysnęły płomieniem oburzenia.

— Nikczemniku! Morderco Izabeli! Patrz Bertold — to syn „Czerwonej Maryny“. Boże! co za cios straszny! Taki nikczemnik, taki zbrodniarz sięga po mienie uczciwego rodu. Zabrał cześć mojego dziecka, złamał mu szczęście całego życia, a teraz chcę mu wydrzeć spuściznę ojcowską.

Brakło jej sił; z głębokiego wzruszenia padła w stary fotel mężowski i zalała się łzami.

Bertold zawołał pokojowej. Pokojowa uspakajała baronową, a Bertold, ująwszy Ludwika za ramię, szepnął mu groźnie, przykładajac pięść do twarzy:

— Łotrzyku! Pójdziesz ty teraz w kajdanki.

— Głupiś stary — rzekł Ludwik z cynicznym spokojem. Ja tę panią zaskarżę o obrazę honoru, bo mnie ośmieliła ubliżyć, mnie, dziedzicowi

tego majątku. Gdzież dowody na to, że jestem jakimś mordercą? Co? Zaraz zaskarżę, niech przed sądem złoży dowód prawdy tego, co mówiła. A tymczasem wara odemnie. Ty stary strzeż się, bo ja tu pan, ja tu dziedzic. Teraz odezwijże się pani, ale mądrze, czy się pani zgadzasz, czy nie, bo tu napróżno czekać nie będę.

— Za drzwi łotrze — krzyknął Bertold, a zebrawszy wszystkie siły, ujął Ludwika za kołnierz i wyrzucił.

Ludwik skoczył do fiakra pieniąc się ze złości, pogroził pięściami i odjechał.

Uwierzył.

Nie mógł się Ludwik opamiętać z gniewu. Zdawało mu się, że odrazu będzie „panem dziedzicem", a tu wyrzucono go za drzwi. Oczywiście, zawód dla niego wielki, złość jeszcze większa. W takich chwilach szukał zwykle pociechy w kieliszku. Kazał się zawieść do matki i tam pił do upadłego.

Tymczasem Klara z niepokojem wyczekiwała, jaki też będzie wynik z owych układów z Ludwikiem. Minęły dwa dni, a żadnej znikąd wiadomości. Ani książe nie przybył, ani Ludwik się nie pokazał. Rozpaczliwe wątpliwości ogarniały ją coraz bardziej. Wreszcie wyprawiła Rózię do stolicy, aby się u Łukasza czegoś dowiedziała. Wiadomość, którą Rózia przywiozła, mogła ją cokolwiek uspokoić, ale nie zupełnie. Dowiedziała się, że książę zamknął się w swoich apartamentach i nikogo nie przyjmuje; że ani z hrabią Buchenau, ani z Wurmem wcale się nie widział. To Klarę cokolwiek uspokoiło, ale nie mogła pojąć, dlaczego Ludwik nie był u księcia, dlaczego nie spełnił przyrzeczenia? Gdzie się podział? co się z nim stało? Czyż na nic się nie zda ej ponowne wiarołomstwo? I to jakie?! W tej chwili, gdy o tem pomyślała, sama sobą zaczęła się brzydzić.

I znowu wezwała Rózię na pomoc; poleciła jej szukać brata. Rózia domyśliła się, że jest u matki i tam się też udała. Ludwik już wytrzeźwiał, ale ponury był, zły i milczący; nawet z matką nie szukał rozmowy. To też Rózia wiele miała kłopotu, zanim się z nim dogadać mogła. Przypomniała mu, że ma obowiązek spełnić przyrzeczenie, że powinien był natychmiast, przed dwoma dniami pospieszyć do księcia.

— Nie rozdzieraj dzióba, daj mi spokój — powtórzył po raz trzeci.

— Czyś ty oszust Ludwiku? Dostałeś zapis Adlersfeldu za to, byś odwołał przed księciem głupie oskarżenia, a nie za to, żebyś tu przesiadywał.

— Ale, może, niby! Jeszcze co? zapis, gruszki na wierzbie; wypędzili mnie jak psa. Niech Klarunia poczeka, aż będę panem Adlersfeldu.

— Cóż ty pleciesz? Tu nie można chwili tracić.

— Niech tam.

— Ludwiku nie drażnij mojej pani, bo jeżeli odsłoni twoje sprawy...

— Ha, ha, ha — zaśmiał się Ludwik.

— Jeżeli nie pojedziesz ze mną w tej chwili do księcia, stracisz Adlersfeld, bo moja pani urzędownie zapis odwoła.

— Ej, hm. No może być, bo ona wszystko potrafi. Ha, niech i tak będzie. Jestem człowiek honorowy i zwykłem dotrzymywać słowa.

W kilka godzin potem była już Rózia z Ludwikiem u Łukasza w stolicy. Odbyli we troje walną naradę, na której zapadła uchwała, że Łukasz natychmiast wyjedna audyencyę Ludwikowi.

Książę wielkich doznawał udręczeń. Namiętność jego była tak wielką, że nie mógł oswoić się z tą myślą, aby żyć zdołał bez Klary. Oskarżenia Ludwika, wspomnienie rozmowy z Buchenauem, nasuwały mu się jak straszne widma, jak nękające zmory. Nie chciał się godzić z tem, że to wszystko słyszał na jawie. A jednak słyszał! Ba! ale były to kłamstwa, oszczerstwa! Nie inaczej. Słowa Klary, że to pewnie intryga i zemsta Wurma i Judyty, pocieszały go, krzepiły, ale to było przypuszczenie tylko. A, żeby też zebrać przekonanie, że istotnie z namowy marszałka ośmielił się miotać oszczerstwa ów zuchwały urwisz!

W chwilach takiego rozdrażnienia zbierała go nieraz ochota, żeby nie zważać na nic i popędzić do owego zacisza, które ukrywało jego mniemane szczęście. Właśnie był w takiem rozdrażnieniu, gdy Łukasz odsunął nieśmiało portyerę i rzekł z cicha:

— Czy wasza książęca mość pozwoli?

— Czego chcesz?

— Przybył tu ów człowiek, ktorego wasza książęca mość kazała ująć i prosi o posłuchanie.

— Jakto? więc go nie zamknięto?

— Wtedy uciekł tak zręcznie, że go ani dopędzić, ani odszukać nie było można, a teraz sam się tu zgłosił.

— Czy dowiedziałeś się po co tu przychodzi?

— Powiedział, że chce wyznać waszej książęcej mości, iż z namowy pana marszałka opowiadał różne kłamstwa.

— Co? — krzyknął książę. Wprowadź go natychmiast.

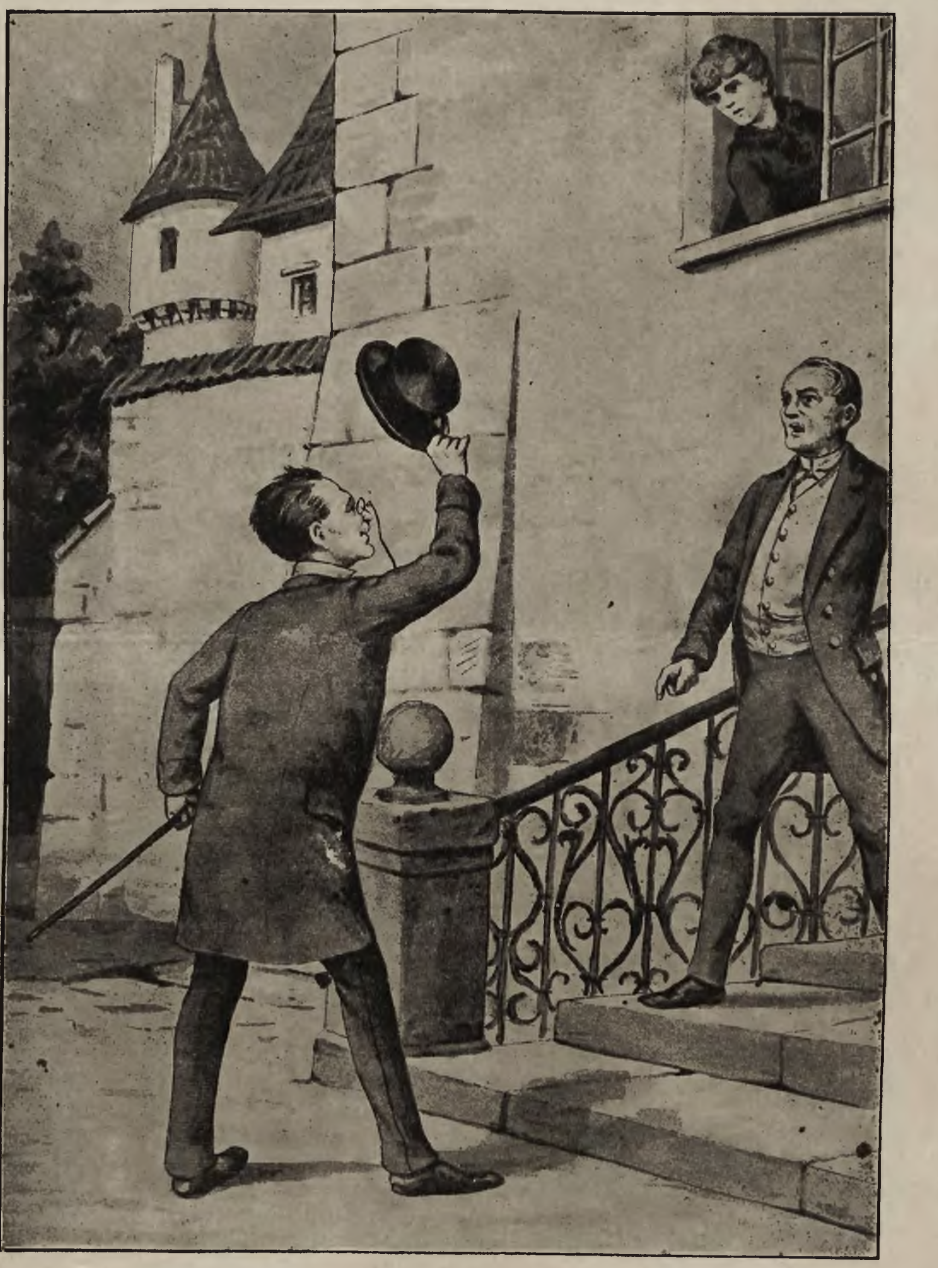
Wszedł Ludwik z właściwą sobie bezczelnością. Nawet bez zająknienia, opowiedział ową zmyśloną historyę o przekupieniu przez Wurma i Judytę.

Książę słuchał, mienił się. Chwilami twarz mu się rozjaśniała, to znów posępniała od gniewu.

— Ale proszę też waszej książęcej mości chronić mnie przed panem marszałkiem. Ja się bardzo boję, żeby mi się za moją poczciwość nie stało co złego — rzekł Ludwik, a oczy i usta napełniły mu się szyderstwem.

— Bądź spokojny, ale musisz wszystko to w oczy marszałkowi powtórzyć. Łukasz, poproś tu natychmiast marszałka.

Ludwikowi zachwiały się cokolwiek nogi, bo mu się to wydało dość niebezpieczne stanąć oko w oko z marszałkiem.



Najniższy sługa pani baronowej dobrodziejki!..

— A dlaczego nie czekałeś wtedy na mnie, tylko wcisnąłeś się do buduaru?

— Bo myślałem sobie, że jeszcze coś zarobię, jeżeli jaśnie pani pogrożę, ale jaśnie pani nie dała się nastraszyć, więc wtedy, gdy wasza książęca mość przybyła, dotrzymałem słowa marszałkowi i hrabiance.

Gdy Wurm wszedł do gabinetu księcia, zadziwił się niezmiernie widokiem nieznanego sobie, a dziwnie wstrętnego człowieka, ale nie miał czasu zastanawiać się nad tem, bo książe odrazu go zagadnął:

— Spostrzegłem, że panu nieprzyjemnie było, gdyś tu zobaczył swego powiernika?

— Powiernika?

— Zapewne nie zechcesz się pan wyprzeć znajomości z tym człowiekiem.

— Ależ ja go nigdy w życiu nie widziałem.

— Przypomnij pan sobie lepiej panie marszałku.

— Ależ zapewniam uroczyście, że tego człowieka widzę po raz pierwszy.

Na to książę spojrzał na Ludwika i dał mu znak ręką, ażeby przemówił. Ludwik z największym spokojem zwrócił się do Wurma i rzekł:

— Pan marszałek jakoś nie chce sobie przypomnieć. Tak to zwykle bywa, że ludzie zapierają się znajomości, skoro im już niepotrzebna. Niech się pan marszałek nie gniewa na mnie, żem się inaczej namyślił. Pieniądze panny hrabianki bardzo mi się przydały, alem się rozmyślił, że to przecie nie godzi się poniewierać uczciwości ludzkiej za marne pieniądze.

— Ależ to jakiś szaleniec. Niech wasza książęca mość raczy pomyśleć, że wszystko to, co ten człowiek tu mówi, jest jakiemś urojeniem, właściwem obłąkanym.

— Sądzę — odpowiedział książę, że ten człowiek mówi bardzo trzeźwo i rozważnie, tylko pan go nie chcesz zrozumieć. Ja ci panu w tem pomogę. W porozumieniu z hrabianką Landesberg ośmieliłeś się pan uwięzić bezprawnie dawną panią Sterneg. Gdy mi się powiodło uwolnić ją z rąk waszych, i gdy ją poślubiłem, uknuliście nikczemną intrygę, aby mi zabrać szczęście, a tę osobę, która przez ślub ze mną stanęła ponad wami, oczernić, poniżyć i zepchnąć z tego stanowiska, które jej wyznaczyłem. W tym celu ugodziłeś pan tego człowieka, a hrabianka Landesberg mu zapłaciła, ażeby przedemną w ohydny sposób oczernił przeszłość dawnej pani Sterneg. Sumienie go poruszyło i wyznał mi prawdę.

Wurm osłupiał. Bezczelność nieznanego mu urwisza, a łatwowierność księcia tak go oburzyły, że nie mógł tego ukryć i trząsł się jak we febrze. Książe tłumaczył to sobie inaczej, zgodnie z tem, czego pragnął, to jest, że Wurm przeląkł się, iż wykryły się jego intrygi. Nastała chwila milczenia, w której książe z nienawiścią i pogardą spoglądał na marszałka i widocznie powściągał się aby nie wybuchnąć. Wurm odzyskał cokolwiek panowania nad sobą i odezwał się tonem stanowczym:

— Jeszcze raz muszę zapewnić, że ten człowiek kłamie. Nigdy go nie widziałem, więc też do niczego nakłonić nie mogłem.

— Dość tego mości marszałku, zawołał książę. Oszczędź pan sobie przykrości udawaniem uczciwego człowieka. Ostrzegam pana, że stracisz stanowisko, jeżeli się odważysz raz jeszcze czynić jakikolwiek zamach na dawną panią Sterneg i mącić spokój jej życia.

— Ależ, wasza książęca mość...

— Milcz pan i wyjdź. Łukasz, wypłacisz temu człowiekowi tysiąc marek i wyprowadzisz go z zamku tak, żeby był zupełnie bezpieczny.

W gospodzie, niedaleko zamku, czekała Rózia. Do niej przyprowadził Łukasz Ludwika.

— Uwierzył? — zapytała Rózia.

— Uwierzył! — odrzekł Ludwik i opowiedział o wszystkiem dokładnie. Łukasz wrócił do zamku, Ludwik wymknął się chyłkiem z miasta i udał się do matki, a Rózia, co koń wyskoczy pędziła do Klary.

Dowiedziawszy się Klara z ust Rózi, że sprawa dobrze się powiodła, niemal szalała z radości. A więc uwierzył! zatem wróci. I teraz będzie ją niezawodnie jeszcze bardziej kochał, będzie jej chciał wynagrodzić wyrządzoną krzywdę.

Radość rozpromieniała Klarę i dodawała uroku jej lubieżnemu powabowi. Znowu odbywała narady ze zwierciadłem, znowu przysposabiała cały zapas wyrafinowanej kokieteryi, aby księcia oczarować, skoro tylko przybędzie. C. d. n.



Z wojny ros.-jap.: Rezerwiści polscy w Łodzi gwałtem wleczeni przez sołdatów rosyjskich do wagonów kolejowych.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Pożegnanie admiralskiego okrętu Rożdżestwieńskiego przez konsula rosyjskiego na Madagaskarze. Upadek Portu Artura pociągnął za sobą wiele innych ciekawych i ważnych zdarzeń.

Najprzód więc zatrzymał na miejscu, do którego doszła, t. j. na Madagaskarze, flotę Rożdżestwieńskiego. Potem zaś spowodował jej powrót. Rycina przedstawia okręt admiralski, wyjeżdżający z portu na pełne morze. Na brzegu zgromadziła się cała kolonia rosyjska z konsulem na czele. W towarzystwie bardzo wykwintnem, bo składającem się z wysokich urzędników i wojskowych, oraz z pań, ubranych według ostatniej mody, widzimy też tubylców w swoich barwnych strojach narodowych, o fryzurach przetykanych piórami, oraz ozdobami, jak różnobarwne paciorki i świecące drobiazgi. Cały ten tłum, złożony oczywiście w znacznej części z Francuzów, sprzyjających Rosyi, żegna się burzliwie z północnymi gośćmi, powiewa chustkami i wznosi okrzyki. A okręt admiralski majestatycznie odpływa z przystani. Plany Rożdżestwieńskiego ani też trzeciej eskadry bałtyckiej nie są jeszcze znane.

Wiadomo tylko, że admirał Dubasow przed wyjazdem z Petersburga opracował plan akcyi morskiej, który oddano do zbadania radzie ministrów. Jaki to ma być plan i jak trąci fantazyą, dość powiedzieć, że na jego wykonanie potrzebaby aż dwa lata. Między innymi opowiadają sobie, że trzecia eskadra wypłynie z Libawy 28 stycznia; składa się ona z okrętów: „Mikołaj I.“, „Admirał Apraksin“, „Admirał Uszakow“, „Włodzimierz Monomach“ i admirał „Sieniawin“.

Rożdżestwieński, żegnający się z konsulem rosyjskim i publicznością francuską z Madagaskaru, będzie tymczasem na oznaczonem miejscu oczekiwał na tę eskadrę.

Nie na tem koniec; w maju wypłynie na Wschód eskadra czwarta. Jak widzimy, rozmach jest i fantazya, przynajmniej na papierze.

W rzeczywistości tego rozmachu i tej fantazyi nie znać. Bo cokolwiek się tylko pokaże na wodach wschodnio-azyatyckich, cokolwiek zawinie do portu lub urządzi wycieczkę — wszystko to albo utknie na własnych minach, albo popadnie w rozsypkę po pierwszym ataku japońskim. Reszta utonie lub się rozbroi. Tak bywało dotąd.

Więc tych planów rosyjskich my na seryo nie bierzemy, natomiast zapisujemy uważnie, co też tymczasem porabiają Japończycy. A oni nie próżnują, Ich wojenne okręty, jak donoszą z Jawy, znajdują się obecnie na północno-zachodniem wybrzeżu wyspy Borneo. Inne okręty, mianowicie wywiadowcze, torpedowce i kontrtorpedowce rozbiegły się po całej przestrzeni morskiej, na jakiej spodziewają się przepływu floty, mającej podobno zamiar udać się do Władywostoku, który ma być najbliższym punktem ataków japońskich. Po różnych cieśninach, koło korsarskich wysp, koło niebezpiecznych dla żeglugi przylądków rozlokowały się okręty japońskie i czyhają na flotę bałtycką.



Z wojny ros.-jap.: Pożegnanie admiralskiego okrętu Rożdżestwieńskiego, przez konsula rosyjskiego na Madagaskarze.

Budnik rosyjski daje znak pociągowi o niebezpieczeństwie, mianowicie o przerwaniu linii kolejowej przez Chunchuzów. Pod względem niszczenia sobie wzajemnego kolei, nie ustępują Japończycy Rosyanom i na odwrót, owszem obie strony zdają się prześcigać w tym punkcie. Świeżo nadchodzą wieści, że Rosyanie zniszczyli kawał znaczny kolei japońskiej koło Inkou.

Zaś na rycinie widzimy, jak tego samego figla wypłatali Chunchuzi, stojący na żołdzie japońskim, Rosyanom. Przez pusty obszar, zasypanej śniegiem mandżurskiej równiny, płynie strumień. Ponad nim zbudowali rosyjscy pionierzy most. Na ilustracyi pozostały z niego już tylko gruzy. Wyboru miejsca dokonali Chunchuzi bardzo sprytnie. Albowiem zburzenie mostu na linii kolejowej jest daleko większą stratą, niż jej przerwanie w którymkolwiek innym punkcie.

Pociąga też za sobą o wiele większe koszta. Bo podczas kiedy przerwanie linii w każdym innym punkcie kosztuje setki, to już najmniejszy mostek wypadnie na kilka lub kilkadziesiąt tysięcy rubli. Właśnie nadjechała lokomotywa, ciągnąca kilkadziesiąt wagonów z wojskiem i żywnością. Jeszcze



Z wojny ros.-jap.: Generał Miszczenko zwiedza patrol strzelców syberyjskich, który miał za zadanie zająć armaty jadące z Portu Artura do armii japońskiej nad Szaho.

chwila a pociąg się wykolei, a setki żołnierzy przypłacą śmiercią ten podstęp nieprzyjacielski. Szczęściem budnik nie zaspał sprawy. Wybiegł naprzeciw i rozpaczliwymi ruchami, oraz krzycząc w niebogłosy, zdołał zatrzymać pociąg. Oczywiście ogólny popłoch, jak zwykle w takich wypadkach, wszczął się w pociągu. Cóż dopiero podczas wojny, gdzie i tak zdenerwowanie ogólne owłada trzykroć mocniej pasażerów. Wybiegli wszyscy. Może jeszcze zastaną zuchwalca, karabin gotów do strzału — niestety uciekł i tylko groźna przeszkoda w transporcie, zdruzgotane kawały szyn czernią się wszędzie.

Zburzony mostek, wyłamane szyny, nawet progi wydarte nadziemską siłą. Musiał tu i dynamit współdziałać — kilof i siły ludzkie niezdolne dopełnić takiego zniszczenia. O przeklęty Chunchuzie! — złorzeczy Rosyanin — tam tyle tysięcy głodnych czeka na transport; pociąg wiózł konserwy i suchary, i lekarstwa i opatrunki — nim taki most się naprawi, upłynie co najmniej tydzień A co głodny pocznie przez ten czas bez chleba, co chory pocznie bez lekarstwa! Lecz czekaj! niechno cię dostaniemy! żywcem ze skóry obedrzemy, wbijemy na pal, zakujemy w dyby! I istotnie — kiedy Rosyanin zemstę zaprzysięże, to już z pewnością nie przelewki — a Chunchuz, który się potem dostanie w ręce sprawiedliwości, ma koniec życia nie do pozazdroszczenia. Tymczasem i most się naprawi i transport choć ze zwłoką



Z wojny ros.-jap.: Budnik rosyjski daje znak pociągowi rosyjskiemu o niebezpieczeństwie, mianowicie o przerwaniu linii kolejowej przez Chunchuzów.

dowiezie i pcha się czarną taczkę wojny w nieobliczalną przyszłość.

Roi się od podjazdów, zasadzek i podstępów — a tymczasem szpitale rannymi się napełniają, a rodziny wdziewają żałobę.

Na nowym zaś mostku i na naprawce zarobi przedsiębiorca i intendent i sprawi rodzinie prezenta. Tak to z jednego źródła dla jednych łzy, a dla drugich sypią się perły bogate.

Uroczystości tryumfalne w Tokio po zdobyciu Portu Artura. Długo, bo blisko cały rok, czekali Japończycy na uroczystość tryumfu. Zapowiadano ją kilkakrotnie i zawcześnie — wreszcie się spełniła. Dzielny naród wyspiarzy, posiadający tyle dziwnych zalet, przemówił mową armat i rozwiał tę niechęć, jaka jeszcze u niejednego przeciw Japończykom panowała. Niejeden jeszcze w starej Europie miał wstręt, zresztą nieumotywowany, do rasy żółtej, dziś on już chyba ustał u wszystkich. Nawet Niemcy choć oficyalnie stroją się w żałobę, po cichu śmieją się w kułak z niepowodzenia rosyjskiego.

A nawet prasa francuska, obowiązana zresztą do przyjaźni traktatem, nie podziela podziwu dla dzielnych synów mikada. Rycina przedstawia świątynię japońską, udekorowaną z powodu zwycięstwa. Główną ozdobą świątyni jest olbrzymich rozmiarów twarz mężczyzny, przypominająca surowe i twarde rysy żołnierskie jenerała Noghiego. Te same surowe, poważne oczy, zatrzymane w jakiemś jasnowidzeniu wielkości ojczyzny, te same brwi krzaczaste i czoło wysokie i zarost w nieładzie. Tę maskę zwycięzcy w nadnaturalnej wielkości uczynioną, przybito na najwyższym gzymsie świątyni. Patrzy ona w różnobarwny tłum niby opiekuńcze bóstwo, niby drugi Budda, i przyjmuje hołdy wdzięcznego narodu.

Naokoło tej maski zwycięzcy — który to zwyczaj przypomina obchody u starożytnych ludów, gdzie także za wozem zwycięzcy niesiono jego maski — wieją sztandary wschodzącego słońca, zatknięte na wysokich drążkach. Owo nabożne i entuzyastyczne czczenie maski wodza, przypomina też zwyczaj paryski i nicejski, gdzie podczas karnawału obnoszą również ze śpiewami nadnaturalnej wielkości postacie, odpowiadające żartobliwością ogólnej wesołości chwili.

Tylko że tutaj w Tokio wszystko odbywa się z najuroczystszym zapałem. Sztandary i symbole wschodzącego słońca powiewają wszędzie i wszędzie się spotyka to samo czerwone oblicze słońca, od którego odbiegają na wszystkie strony szerokie, fantazyjnie narysowane promienie słońca. Tensam poetyczny znak wschodzącego słońca widnieje także i na lampionach. Oprócz wyobrażenia słońca, widzimy na takichże lampionikach i znak księżyca. Na naszej rycinie ubrano cały misterny balkonik drewnianej świątyńki owymi lampionikami różnobarwnymi z wyobrażeniem księżyca.

Wszędzie zaś na listwach wiszą złociste napisy ze sentencyami, które wykonano, stawiając hieroglify z góry na dół, według japońskiej mody pisania. Sama świątynia, oraz wille poza nią się znajdujące, wykonane są niezwykle ozdobnie, niby najdelikatniejsze z naszych zakopiańskich pałacyków. Wokoło tłum japoński, ów barwny, entuzyastyczny i poetyczny tłum.

Tuż poprzed świątynią przejeżdża w powoziku, powożonym przez kulisa, zamożna Japonka. W ręku trzyma bukiet, i patrzy w twarz Noghiego. Kulis jest ubrany w spodenki i pantofle chińskie oraz w rodzaj surducika bez kołnierza. Na głowie nosi szeroki kapelusz, podobny do miski. A dalej stoją i wznoszą okrzyki Japonki, ubrane w swoje wiotkie i barwne kimona, ufryzowane nadzwyczaj starannie i powabnie, poprzepasywane barwnymi pasami.

Jedna z nich niesie dziecię na plecach zawinięte w ten sposób, jak to czynią znane nam cyganki.

Całości dopełniają znane nam dobrze parasole chińskie z pręcików i barwnych materyj, oraz liczne sztandary z wizerunkiem wschodzącego słońca.

Rezerwiści polscy w Łodzi gwałtem wleczeni przez sołdatów rosyjskich do wagonów kolejowych. Coraz częściej dowiadujemy się o całych setkach i tysiącach Polaków, ginących na krwią zroszonych polach azyatyckiego Wschodu. Oddają oni życie za interesy swoich ciemięzców, za sprawę obcą, za marne hasła.

Ich niedola, to niedola nasza, wspólna nam wszystkim. Rycina przedstawia brankę w Łodzi. Pod obuchem karabinów, których kolby spadają nieraz na niewinne barki chłopów, muszą ci nieszczęśliwcy opuszczać swe rodziny. Gwałtem, drąc szaty, ciągną ich do wagonów, a na straży stoją całe kompanie, gotowe do użycia siły. Wagon powoli maleje. Beznadziejny los i zguba czeka wielu z nich.

Lecz ci, co giną wśród walk na śmierć i życie, co osierocają rodziny swe, na przeciwległym krańcu świata składają swe kości — ci, pędzeni na rzeź, szczęśliwsi są, niż inni, pozostali w kraju.

Zniszczenie, jakie sieje ta wojna, strasznie przedstawia się w cyfrach, a dotyczą one wszystkich. Podają poprostu cyfrę unieszczęśliwionych przez wojnę Polaków na milion.

Dopiero niedawno zaczął przemysł Królestwa Polskiego sięgać po rynki zbytu na Wschodzie. Przyczyniły się do tego koleje rosyjskie. Wyroby nasze były tanie i dobre. Jakże często spotyka się dziś w Syberyi i Mandżuryi szyldy: warszawskie wyroby. Towary składały się z obuwia, ubrania, bielizny, wyrobów z żelaza i papieru. Ten przemysł z każdym rokiem potężniał i docierał dalej.

W przededniu wojny to ongi ubogie Królestwo liczyło półtrzecia tysiąca fabryk. Blisko pół miliona robotników znajdowało w nich zajęcie. Dziś koleje oddano wojsku, robotników i chłopów zabrano fabrykom — cały ruch przemysłowy wstrzymano. Ludność Syberyi i Mandżuryi zniszczona, fabryki zmniejszyły pracę, ośmset fabryk istnieć przestało. Bez chleba pozostało 150.000 robotników.

Jenerał Miszczenko zwiedza patrol strzelców syberyjskich, który miał za zadanie zająć armaty, jadące z Portu Artura do armii japońskiej nad Szacho. O jenerale Miszczence teraz głośno, odkąd z japońskiej kwatery doniesiono, iż rosyjska kawalerya, jak się zdaje pod dowództwem tego jenerała, z 2 pułkiem piechoty gwardyi i 12 działami zaatakowała Japończyków koło Nioczatun, ale została odparta, straciwszy koło stu ludzi. Rycina przedstawia jenerała, zwiedzającego patrol.

Wyprawa Miszczenki miała się odbyć we dwa tysiące ludzi. Wieczorem 12 b. m. wykonali Rosyanie trzy rozpaczliwe ataki na magazyny japońskie.

Japończycy otrzymali posiłki i po naprawieniu kolei, którą Rosyanie zniszczyli, odparli Rosyan. Była chwila, że Rosyanie zostali odcięci przez przeważające siły japońskie, a do dziś dnia nie wiedzą, co się z częścią tej wyprawy stało. Swoją drogą ten śmiały atak kozackiego jenerała miał wywołać chwilowy popłoch w szeregach japońskich. Ale brak żywności wkrótce ten waryacki manewr uspokoił i zmusił kozaków do odwrotu.

Nie obyło się także bez złych następstw. Wyprawa Miszczenki była naruszeniem neutralności Chin i pociągnie za sobą wiele trudności. Wielkiej szkody nie mogła wyprawa wyrządzić Japończykom, a Rosyan spotkał wielki zawód. Kozacy zdołali tylko w dwóch miejscach uszkodzić tor kolejowy, lecz szkody te już naprawiono. Wszędzie zaś, gdzie kozacy spotkali się z przeważającemi siłami, zostali odparci.

I właśnie przedstawia rycina skutki tych porażek w postaci opatrunków i bandaży.

Ale nie tylko Miszczenko niepokoi Japończyków. Donoszą i z innych stron, że rosyjska konnica rozwija ożywioną działalność na zachód od Liaojanu. Ma to wszystko na celu przecięcie linii kolejowej i zaniepokojenie armii Noghiego, która idzie połączyć się z armią Ojamy.

Wszędzie jednak odparto Rosyan ze stratami. Japończycy nie boją się też tych ataków. Koła wojskowe w Tokio sądzą, że kozacy chcą zabrać ciężkie działa jenerała Noghiego, które znajdują się obecnie w drodze z Portu Artura nad Szaho. Od tych zamiarów rosyjskich ważniejsze są japońskie. Podobno Ojama doniósł rządowi w Tokio, że jeżeli do połowy lutego otrzyma posiłków 60.000, przejdzie do ofenzywy i wyprze Rosyan z Mandżuryi.



Z wojny ros.-jap.: Uroczystość tryumfalna w Tokio po zdobyciu Portu Artura.

LUEGER W KOŁOMYI.

Opowieść wesoła, zaczerpnięta ze stosunków galicyjskich

przez

Grzegorza Smólskiego.

(Ciąg dalszy)

Przekrasa robi nieśmiało uwagę:

— Ekscelencyi sypią się rymy jak z rękawa. Ja także robię ekskursye na Parnas, lecz pegaz mój nie czmycha tak chyżo.

— Cóż mam ci odpowiedzieć na to, kolego i bracie w Apolinie — odpiera ekscelencya.

— Ha, chyba, że:

Siedzi wróbel siedzi, oj na telegrafie,
Mówi krowa krowie, tego nie potrafię.

Homeryczny śmiech wstrząsa towarzystwem. Z zapałem piją zdrowie ekscelencyi „najznakomitszego męża Polski“, następnie zaś: „Niech żyje nasz poseł!“, na co hrabia odpowiada dziękczynnie:

— Dzięki, dzięki, łaskawi wyborcy. Splendor, jaki spada na mnie kwituję memi zasadami, bo czemże człowiek, lichy pył wobec wieczności. Dlatego pamiętajmy zawsze na życie pośmiertne, wielbmy stwórcę i trzymajmy się jego przykazań. Pragnę służyć Bogu i krajowi jako prawy syn tej ziemi, ufny w wasze poparcie. Pozwólcie mi jednak wypowiedzieć jedno tylko gorące życzenie: strzeżcie się jak ognia wszelkiego radykalizmu, to rzecz czartowska. Z ubolewaniem przychodzi mi stwierdzić, że w naszym obozie katolickim pobłyskują iskry radykalizmu. Niektórzy bowiem stawiają u nas chrześciaństwo tak, jakoby ono miało stanowić hasło bojowe przeciwko innym współobywatelom. Powiem krótko i poprostu: Antysemitą w znaczeniu wiedeńskim nie jestem, bo brzydzę się demagogią, jestem tylko katolikiem, prawowiernym synem kościoła.. Akcenty — mówił zwracając się do Niesamowitego — jakich redaktor używałeś...

— Dajże pokój redaktorom, bardzo ciebie proszę.

— Bo źle będzie, jak się panie taki ptaszek spłoszy — przerywa członek komitetu centralnego, a zwracając się do Niesamowitego pyta się go: Makolągwa, czy Kukułka?

— Kukułka Pokucka — odpowiada — do usług ekscelencyi.

— Ptaszyna nie orze, ptaszyna nie sieje,
A przecież ptaszynie nie tak źle się dzieje — rzecze ekscelencya.

Towarzystwo uśmiecha się znacząco, a redaktor nieco zaambarasowany robi uwagę:

— Prześliczny hexametr, jak toczony.

Na to ekscelencya:

— Pan się rozumiesz na heksametrze,
Lecz derwisz lepiej zna świętopietrze.

Ekscelencya dowcipkuje dalej aforyzmami wierszowanemi, budzącemi powszechną wesołość. Przekrasa, sam poeta, „wstrząśnięty“, jak zapewnia, geniuszem wieszczym ekscelencyi, nie może wytrzymać dłużej, to jest powstrzymać swej muzy, więc wybucha mową wiązaną:

— Na straży sprawy publicznej stojąc
A szwanku ponieść wielce się bojąc
Nie snadno milczeć — omówić trzeba,
Co najnowszego zesłały nieba.
Grom. Zbierzcie zmysły panowie w kupę
Dziś bowiem wzięli Lügra do ciupy.

Ekscelencya gotów do turnieju apolinowego replikuje:

— Dajżeż bracie pokój ciupie,
A myśl lepiej o swej... chałupie.

Domyślniejsi parsknęli głośnym śmiechem, wśród którego ekscelencya improwizuje dalej:

— Podkładacie mej myśli nieprzystojne słowo,
Chociaż ono jest gruntem i wszystkiego głową.

Hrabia robi koniec krotochwili, pytając się:

— Powiedzcie mi, kochani panowie, co jest prawdy na tych różnych pogłoskach o Luegerze?

Baron Seydel: Przyjechał tu wczoraj....

Niesamowity: Całkiem niespodzianie, bo ja tylko straszyłem nim żydów.

Korpacz: Nieszczęście, zamknęli go do kozy. Sam starosta...

Jasio: Na rozkaz najwyższy.

Hrabia: Po co tu przyjeżdżał? Panowie, proszę was stanowczo, dajmy sobie spokój z antysemityzmem.

My z rządem zadzierać sobie nie możemy, z rządem ustanowionym przez najłaskawszego monarchę, któremu tyle mamy do zawdzięczenia. A pan, panie Samowity czy Niesamowity — rzecze surowo do redaktora — panu wręcz zakazuję nazywać mnie kandydatem antysemickim. Ja nim nie jestem i być nie chcę.

Zmięszany redaktor tłumaczy się:

— Ja też w dzisiejszej „Kukułce“ zamieściłem artykuł wstępny, który poniekąd...

— Daj pan spokój z swemi artykułami — przerwał mu hrabia szorstko. — Pan miewasz dzikie koncepty. Co znaczy drukować żyda Turteltauba...

— Kandydat komitetu centralnego, ale tylko dla odczepnego — wtrącił ekscelencya.

— Ja też podniosłem tylko kandydatów komitetu... — dodał Niesamowity.

Lecz hrabia nie dał mu skończyć, prawiąc gniewnie:

— O to nie chodzi. Lecz doktorowi Turteltaubowi nie należy pierwszeństwo przed Augustem hrabią Młodzieńskim. Wydrukował jego nazwisko aż trzy razy tłusto, to perfidya!...

Niesamowity tłumaczył się dalej:

— Rzeczywiście jaśnie hrabia miałby słuszność, gdyby nie była zaszła fatalna omyłka druku. Kazałem właśnie drukarzowi, żeby nazwisko jaśnie hrabiego wydrukował tłusto, a on robi mi przewrotnie. Zekpałem go od osła i cymbała...

— Z Luegerem — podjął Jasio — będzie paskudna sprawa. W hotelu zameldował się jako rabin Floch. Wiem o tem od hotelisty.

— *Falschmeldung* — dodał baron Seydel.

— Szkoda! — wtrącił aptekarz Szypułka — mógł nam pomódz dużo.

— Dziękuję za tę pomoc — rzekł hrabia skwapliwie.

A Jasio zauważył:

— Tak dalece pomocy nie potrzebujemy żadnej. Wybór kochanego Gucia, daruj — rzekł zwracając się do hrabiego — że z przyzwyczajenia wyrażam się o tobie tak poufale i po przyjacielsku — jest pewny, *bombenfest*. Główna rzecz, że żydzi rozdwojeni. Rabin miałby nieco szansy, gdyby był się w czas stawił na placu. Lecz tak... dotychczas go nie ma. Kandydatura Turteltauba wręcz śmieszna... najmniejszej nie ma szansy, choć sypie pieniądzmi.

Hrabia podjął:

— Ale a propos, panowie — słyszałem, że pokój śniadaniowy wyruszył także z kandydatami. Ma ich być nawet cały tuzin.

Baron Seydel zaczyna się śmiać tak serdecznie, że mówić nie może. Wyręcza go aptekarz Szypułka, powiadając:

— To tylko *pour le drapeau del'honneur!*

— Znasz mnie drogi Auguście — zabiera nareszcie baron Seydel głos — stoję ponad stronnictwami — wiesz, że cenię każde przekonanie, jeżeli uczciwe. Otóż tylko dla zaznaczenia rozmaitych zasad i kierunków...

— Słyszę jednak — przerywa hrabia — że Rusini utworzyli aż dwa komitety wyborcze, że agitują silnie. Socyalni demokraci także...

— Ja znam dobrze nasze miasto — wtrąca Korpacz, strzelając już z trzeciej butelki szampana Jasiowego — oni wszyscy razem nie zbiorą razem 100 głosów.

Hrabia: Zawsze rozstrzelenie głosów.

Sedlaczek: Wybór pana hrabiego pewny. My nie śpimy. Wczoraj obiegliśmy wszystkie przedmieścia. Miejska inteligencya z nami, pan starosta...

Przekrasa: To główna rzecz...

Sedlaczek: Mimo to dobrze byłoby, gdyby pan hrabia zwołał zgromadzenie wyborcze i wygłosił mowę...

Hrabia: Panie Siodłowski, ja się w takie rzeczy nie bawię. Albo mają wyborcy do mnie zaufanie albo go nie mają. Ja brzydzę się wszelką demagogią.

Namentowski: Bardzo słusznie. Hrabia tego nie potrzebuje.

Jasio wznosi, *bis repetata dosis*: ponowny toast na przyszłego posła miast Kołomyi, Buczacza i Śniatyna.

Aptekarz Szypułka, którego muza spoczywała dotychczas w cieniu skromności, robi rymowane „dopowiedzenie“ toastowe:

— Hasło nasze: z panów pan,
Lecz nie jakaś ciura.
Więc wyborcy, hejże w tan,
W bój z okrzykiem: hura!

Rozlegające się oklaski szarpały [illegible] serce współzawodnika Przekrasy, który swon[illegible] isem nie zebrał i połowy takiego uznania.

Hrabia w towarzystwie ekscelencyi opuścił towarzystwo udając się do kościoła na nabożeństwo, a następnie do starosty. Stronnictwo pod dowództwem Kiełbasowskiego oczekiwało go na rynku. Gdy się ukazał jego powóz zadudniło szkło w oknach kamienic żydowskich od okrzyków wznoszonych na jego cześć i pomyślność. Wyprzężono mu konie z powozu. Przedmieszczanie pociągnęli powóz aż przed dwór w Oleksińcach, krzycząc w niebogłosy.

W drodze ekscelencya deklamował:

— Nie zmienisz radykale rzeki dziejowej koryta, bydełko zborcze ciągnie nas naprzód, rączo z kopyta.

IX.

Zgromadzenie wyborcze, zwołane przez kahał nie odbyło się z powodu nieprzybycia rabina z Stadlau, który podług zapowiedzi miał przyjechać onegdaj.

Tymczasem ruch wyborczy wre i kipi jak w kotle. Agitacya wyborcza szaleje. Miasto do najdalszych zaułków oblepione plakatami, między tymi dużo żydowskich. Dr. Tałkes afiszował się w języku hebrajskim, gardząc żargonem, dr. Turteltaub zaś niezgorszą polszczyzną jako „polski narodowy kandydat barwy demokratycznej“. Obydwa stronnictwa ruskie wymyślają sobie nawzajem plakatami od „łotrów“ i „szubienniczników“. Hrabia Młodzieński wobec ogłoszenia siebie „naszym kandydatem“ w „Głosie Narodu“ widział się także zniewolonym, nie chcąc używać dalej pomocy Niesamowitego, uciec się do plakatów, którymi oznajmiał wszem wobec i każdemu z osobna, że kandydatem antysemickim nie jest bynajmniej i lubo opierając się na zaufaniu katolickiej ludności sięga po mandat poselski, by statecznie służyć interesom kraju i społeczeństwa, nie mniej przeto uważać będzie głosy żydowskie, jakie padłyby na niego, „za wielki, wielki zaszczyt“.

To jawne zaparcie się antysemityzmu wywarło na „frakcyę Namentowskiego“, do której należeli Niesamowity, Przekrasa, Sedlaczek i Brandmajer, jaknajgorsze wrażenie, co oddziaływało fatalnie także na przedmieścia. Namentowski i Niesamowity pozyskani przez Goldstückla dla kandydatury dr. Turteltauba byli w istocie rzeczy wielce zadowoleni, gdyż mieli teraz pozór do wystąpienia przeciwko hrabiemu i do agitowania przeciwko jego kandydaturze, szczególnie na przedmieściach. Plakat hr. Młodzieńskiego stał się w ich ręku orężem przeciwko niemu.

Z „przywódców chrześciańskich“ pozostali mu wiernymi tylko: Przekrasa, Kiełbasowski, Korpacz, Jasio i baron Seydel.

Namentowski otrzymawszy pięć stokoronówek od Goldstückla rozpuścił wodze wymowie, zapałowi i stałości zasad.

— Mamy wybierać — prawił wyborcom — takiego chrześcianina, który wypiera się chrześciaństwa trzymając z żydami, to już lepiej wybierzmy porządnego żyda, który nie zapiera się swojej religii, lecz przytem jest prawym synem tej ziemi, która go zrodziła.

Niesamowity pisał w tym samym duchu w „Kukułce“.

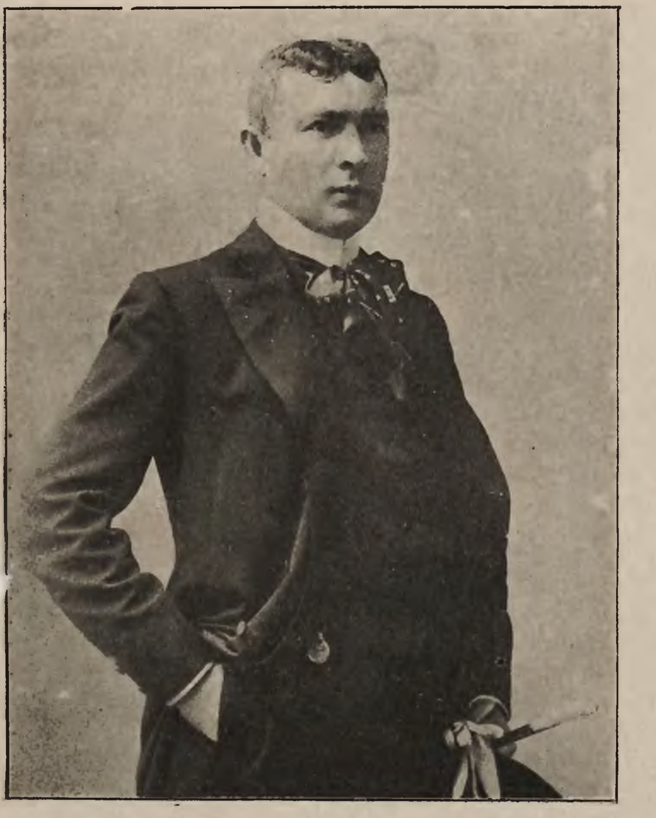
Argumenty trafiały do przekonania „wyborców chrześciańskich“, a w miarę tego rosły szanse dra Turteltauba.

Niesamowity wydał nawet „nadzwyczajny dodatek“, polemizujący z plakatem hrabiego. Argumentował między innemi: „Jeżeli jutrzenka przyświecająca od Oleksiniec gaśnie i robi się ciemno, dokądże ma wśród ciemności płynąć łódka nasza, do jakiej przybić przystani? Sternikiem naszym może być tylko krajowy komitet centralny wyborczy, który wyrzekł swe słowo. Kandydatem jego jest dr. Maksymilian Turteltaub i hr. Młodzieński. Wobec niespodziewanego zwrotu, jakiego ostatni dokonał, zdaje się, że komitet centralny odstąpi od kandydatury pana na Oleksińcach z przyległościami. W takich okolicznościach nie trudno będzie wyborcom zrobić wskazany wybór pomiędzy kandydatami. Jako chrześciańscy wyborcy mamy prawo żądać, żeby kandydat nas się nie wstydził, a jeśli kandydat głosy żydowskie poczytuje sobie za największy zaszczyt, niech się trzyma żydów, z nami sprawa skończona“.

Tymczasem wychodzi na jaw rzecz bardzo dziwna. Mniemano powszechnie, iż zamknięto do kozy dra Luegera. Po dwóch dniach atoli wypuszczono z niej na rozkaz z Wiednia dra Ezechiela Flocha, rabina z Stadlau.

Jak się to stało, o tem nikt nie miał jasnego pojęcia. Starostwo, czuwające nad bezpieczeństwem publicznem spełniło tylko swój obowiązek uwięziwszy osobnika, wzbudzającego zachowaniem się i postępowaniem swem jak największe podejrzenie.

(Dokończenie nastąpi).



Roman Żelazowski.

Migawki teatralne.

Jest kilku artystów starszej doby, którzy pomimo lat i wyczerpującej pracy scenicznej, pomimo współzawodnictwa młodszych niemniej od nich utalentowanych kolegów – potrafili się jednak utrzymać na tym samym poziomie, który przed laty osiągnęli. Do rzędu tych należy i Roman Żelazowski, znakomity polski tragik.

Roman Żelazowski urodził się w roku 1856 w Galicyi, a studya gimnazyalne odbył w Tarnowie. Następnie poświęcił się zawodowi aptekarskiemu. Ale przyszłemu artyście zbyt duszną była atmosfera mięty i amoniaku — zbyt szczupłym widnokrąg ograniczony szklannemi retortami i słoikami. Dusza jego rwała się ku wyżynom sztuki. I niezadługo młody adept sztuki aptekarskiej przerzucił się na inną dziedzinę pracy.

Po krótkiej tułaczce prowincyonalnej, zagościł na dłuższy czas w Krakowie, gdzie miał sposobność wykształcić swój talent pod znakomitem kierownictwem ówczesnego dyrektora teatru krakowskiego Stanisława Koźmiana. Repertuar jego obejmował olbrzymi zakres ról bohaterskich i poważnych kochanków. Wkrótce poznała Żelazowskiego cała Polska z gościnnych występów, a nawet i dłuższego stałego pobytu. Żelazowski grywał na scenach: krakowskiej, lwowskiej, poznańskiej i warszawskiej, nie licząc już miast prowincyonalnych w Galicyi i w Królestwie Polskiem. Gościnnie występował zaś i po za granicami kraju, jako to: w Pradze, Pilźnie, Zagrzebiu i Petersburgu. Żelazowski jest obecnie członkiem rządowego polskiego teatru w Warszawie i prócz tego piastuje tam godność jednego z reżyserów. Żelazowskiego cechuje wspaniała postawa, piękny głęboki głos, wyrazista twarz i estetyczne ruchy. Jest to artysta wybitnych zdolności, niepospolitej inteligencyi i wyższego wykształcenia.

Nie dziwno też, że zajął jedno z najwybitniejszych miejsc, w pierwszym dziś teatrze polskim.

* * *

Dramat polski rozwinął się dopiero w drugiem ćwierćwieczu ubiegłego stulecia i z tą chwilą można mówić u nas o rozwoju teatru. Mieliśmy przedtem widowiska sceniczne — ale nic więcej. Nawet dramat obcy, niemiecki czy angielski, dostawał się do nas w okropnych przeróbkach, że smaku na tem wszystkiem wyrobić sobie zgoła nie było można.

Zazwyczaj wspominamy utwory Juliusza Słowackiego, ilekroć sięgając w przeszłość chcemy postawić coś na wyżynie arcydzieła dramatycznego. Po okresie rozkwitu poezyi romantycznej — dopiero dziś znowu dramat wysuwa się na naczelne stanowisko i zajmuje wybitne miejsce w twórczości literackiej i naszym artystycznym dorobku. Że jednak dzisiejszy dramat — to dalszy ciąg okresu rozwoju literatury dramatycznej pod patronatem J. Słowackiego, nie można mówić o zasadniczych różnicach, i dla przypomnienia dodamy, że tak zwanego klasycznego dramatu nie mamy wcale.

W przeciwieństwie do tego ostatniego jest u nas dobrze reprezentowany dramat t. zw. modernistyczny.

O ile dramat klasyczny dla talentu aktorskiego nie dostarcza wiele sposobności do popisu — to przeciwnie dramat modernistyczny przyczynił się ogromnie do rozwoju talentów aktorskich i on powołał i rozbudził talenty największe.

Pisząc o Siemaszkowej, nie można nie podkreślić, do jakiego rodzaju dramatu jej talent się odnosi. Nikt nie wątpi, że zakres jej ról nie obejmuje repertuaru klasycznego. Tak np. Modrzejewska w tym repertuarze celuje. Za to wszechwładnie panuje Siemaszkowa w dramacie nowoczesnym. Tu zakres jej ról jest tak wielki, że trudno ogromnie o jego ścisłe przyjęcie. Niema prawie dramatu Słowackiego, w którymby Siemaszkowa nie grała. Przypomnę tylko jedną z najwspanialszych jej ról: rolę Judyty w „Księdzu Marku“.

Przechodząc do dramatu współczesnego, wymienię dla przykładu (i przypomnienia): rolę Julki w „Sieci“ Kisielewskiego, Wandy w „Kajetanie Oróg u“ Kończyńskiego, młynarki w „Zaczarowanem kole“ Rydla, panny młodej w „Weselu“ Wyspiańskiego, Maryi w „Warszawiance“ i t. d. Gdyby nam chodziło o ujęcie choćby zasadniczego rysu typów przez nią oddawanych — to musimy powiedzieć, że najlepiej i najdoskonalej odgrywa Siemaszkowa role kobiet, w których wre i kipi życie. Jest to artystka z gorącym temperamentem i w rolach, gdzie ona może włożyć ten temperament, czuje się najswobodniej.

Wskazują na to, choćby powyżej wymienione, przez nią odgrywane postacie.

— Pisząc o niej — zbytecznem byłoby piać hymny pochwalne. Każdy, kto raz ją widział na scenie, musiał uznać jej wielki talent. Artystka zdobyła sobie nadzwyczajną popularność także swemi zdolnościami deklamatorskiemi. Mając wrodzone zdolności deklamatorskie: głos rozwinięty w pełnej skali i umiejętność odczucia i wniknięcia w treść utworu — zdobywała niemniejsze laury jako deklamatorka, niż jako artystka dramatyczna.

Przez szereg lat była stałą artystką teatru krakowskiego pod dyrekcyą jeszcze Pawlikowskiego i później przez niedługi czas pod obecną dyrekcyą.

Przeniosła się następnie do Warszawy, ale podobno — twierdzą złośliwi — ani w Warszawie ani u nas nie mogła wytrzymać współzawodnictwa z drugorzędnemi artystkami(!) — bo sama była artystką za drogą!

Obecnie występuje gościnnie we Lwowie, gdzie zbiera laury i święci tryumfy jako jedna z tych wielkich dusz, które umieją sobie podbijać tłumy.

Z TYGODNIA

Północny niedźwiedź w swojem legowisku
Został niemile ze snu obudzony,
Chociaż lat tyle w żelaznym uścisku
Trzymał i gnębił poddanych miliony.
Dziś jednak widzi, że z nim źle dyabelsko,
I dreszcze trwogi wstrząsają mu cielsko.

Zdumiewająca wieść przebiega światem:
Że lud rosyjski zerwał się z swej trumny
I ze śmiertelnym swym wrogiem: caratem
Staje do walki potężny i dumny.
Przed nim niech zadrżą świata potentaty,
Co opierają swój tron — o armaty.

„Bunt! Bezrobocie! — straszne w Rosyi hasła!
Burzy się ludu biednego tysiące,
Dla których zorza lepszej doli zgasła,
I oczekując na wolności słońce
Tymczasem radzą o sobie jak mogą:
Świecą carowi — pod sam nos pożogą.

Czy owa droga prowadzi do celu,
Czy konstytucyę raz naród wywalczy,
Czy też po krwawych wytężeniach wielu
Znowu rozpocznie tryb życia służalczy
I znów w niewolę ducha się zaprzeda? —
Dzisiaj nic jeszcze przesądzać się nie da.



Wanda Siemaszkowa.

Strejki potężnym, przemożnym łańcuchem
Wiążą ze sobą nawet sfery różne,
Wszystko się łączy z robotniczym ruchem:
Milczą warsztaty i fabryki próżne
I ludu gniewne podnoszą się pięście
Zwiastując światu swobodę i szczęście.

* * *

Kraków choruje na miasto światowe
Ciasno zaczyna mu być wśród rogatek
I na wzór Wiednia jest dzisiaj gotowe
Na cel „rozszerzań“ nałożyć podatek.
Wielka pociecha spłynie na biedaków,
Że zamieszkiwać będą **wielki** Kraków!

Wielki czy mały — to rzecz mniejszej wagi,
Gdy wielkich ludzi w murach swoich gości,
Ludzi nie pracy, ale wielkiej blagi,
Wielkich pretensyj — i wielkiej próżności!..
Niech każdy wierzy i każdy się dowie
Że sami ludzie wielcy są w Krakowie!

Wielkim jest każdy w własnem rozumieniu
Choć nie od wszystkich geniusz ten uznany,
Chce, by wiedziano o jego imieniu
I by publicznie zdobiono niem ściany,
A po swej śmierci (mamy takich wielu),
Chce być na Skałce, lub choć — na Wawelu!

Niech tylko każdy wkoło się rozglądnie
A tem, co piszę — nie zdziwi się wcale
Jeżeli tylko żyje ktoś porządnie
(To jest: jeżeli nie był w kryminale),
To już z pewnością i pretensye rości,
By wieczną pamięć — mieć u potomności!...

Kącik humorystyczny.

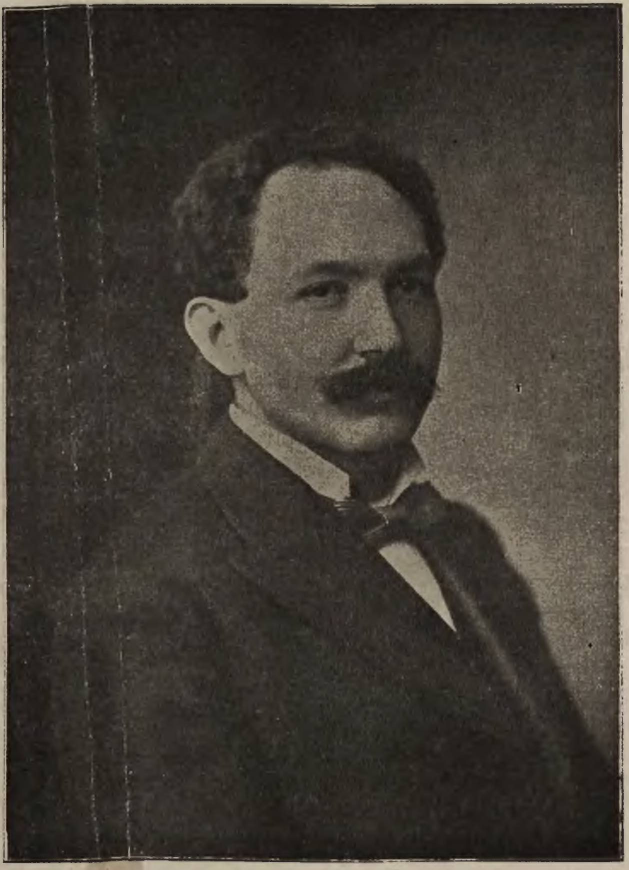
W cukierni.

Gość (który nie może się opędzić muchom): Piccolo! Daj tym muchom na mój rachunek coś do zjedzenia!...

Jaskinia gry.

— Dokąd ty idziesz?
— Do Iksów!
— Ależ na miłość boską, jak ty możesz iść do nich! Przecież tam jest prawdziwa **jaskinia gry**!...
— Człowieku, czyś ty zwaryował? Iks nikomu u siebie nawet kart do ręki wziąć nie pozwoli!...
— Tak, ale za to ma pięć córek, które od rana do nocy bębnią na fortepianie!...

Leopold Godowski.



W zimowym sezonie r. 1900/1 wystąpił w Berlinie pianista Leopold Godowski i wzbudził ogólne zainteresowanie, aczkolwiek nazwisko jego w Niemczech nie było znanem. Przyszedł, grał i zwyciężał, podbijając sobie wszystkich — swoją nadzwyczajną, uderzającą w oczy techniką. O ile na tę stronę gry pianistów zwraca się zawsze dość wielką uwagę, to Godowskiemu przyznali wszyscy muzycy i krytycy jedno z pierwszych miejsc z pośród licznej plejady pierwszorzędnych muzyków. Ma on swoje specyalności, w których mało kto mógłby go przewyższyć. Tak często spotykana, bez treści a pełna frazesów „gra brawurowa“, działająca tylko na masy — jest mu zupełnie obcą. Niemieccy krytycy z podziwem i uznaniem dla naszego mistrza odważyli się uznać go nawet za wyższego od Chopina i to. co Chopin zaledwo przeczuwał, miał według nich Godowski doprowadzić do prawdziwego mistrzowstwa, a przez to zyskać sobie nieśmiertelne imię w historyi muzyki. Jego uderzenie jest dziwnie delikatne i zarazem eleganckie, wyraziste w całej pełni i czyste. Do tego dołącza się pełne myśli opanowanie technicznej strony gry. By się naocznie przekonać o tych wszystkich zaletach pianisty – trzebaby słyszeć jego wykonanie i opracowanie „Etudes“ Chopina. Godowski stworzył cuda. To parafrazuje jakąś etudę Chopina – to znowu łączy dwie z sobą i wywołuje możliwie do osiągnięcia największy i wspaniały efekt.

Leopold Godowski urodził się w Wilnie 13 lutego 1870 roku. Już jako trzechletnie dziecko zdradzał niezwykłe rozumienie muzyki. W piątym roku życia zabrał się do nauki muzyki, a w siódmym roku komponował już pierwsze swoje utwory. Mając lat 9 występował już na publicznych koncertach, a następnie do roku 1884 kształcił się w wyższej szkole muzycznej w Berlinie. Później pojechał do Ameryki i tam koncertował z pierwszorzędnymi muzykami. Powrócił jednak do Europy, by się oddać dalszym studyom i kształcić specyalnie u wielkiego pianisty francuskiego Saint-Saënsa, który go zaprosił na występy do pierwszorzędnego klubu muzycznego: "Trompette" w Paryżu. Saint-Saëns był tak zachwyconym grą Godowskiego i jego kompozytorskiemi zdolnościami, że go przyjął jako ucznia – wbrew swemu zwyczajowi. W Paryżu pozostał Godowski do r. 1890, skąd udał się do Londynu i tu występował na koncertach, wzbudzając ogólny podziw i zachwyt. Z koncertami objechał prawie całą Europę, zdobywając sobie wszędzie jak największe laury. Koncertował z pierwszorzędnemi orkiestrami i towarzystwami muzycznemi na bardzo wielu dworach. Godnem zaznaczenia jest, że mistrz nasz wydał około 100 własnych kompozycyj muzycznych, które rozniosły jego imię, jako kompozytora, po całym świecie.

ZBYSZKO Z BOGDAŃCA.

NARZECZONA KŁUSOWNIKA.

Nowela z życia ludu wiejskiego.

5 (Ciąg dalszy).

— Skądżebym wiedział, gdyby mi nie mówił?— wzruszył ramionami starzec — no ten rogacz, to się nam obojgu i jemu także pewnie dobrze opłaci!

Hania zaśmiała się srebrzyście.

— Powiadajcie no tatulu, jak to było z tym rogaczem, bo i Jaśko coś mi o tem wspominał, ale ot tak sobie, jak to ludzie mówią piąte przez dziesiąte!...

Marcin zapalił znów fajeczkę i powoli, spluwając co chwila na ziemię, zaczął w głos opowiadać zajście Pogórnego w lesie.

Ale Marcin nie mówiłby był pewnie tak głośno, gdyby był dojrzał, że w okienku izdebki ukazała się twarz wykrzywiona dziką radością, gdyby był przeczuł, że tam za ścianą czai się wróg Jaśka, który podsłuchuje tylko po to jego gawędy, aby potem młodemu parobczakowi powróz na szyję ukręcić!

I ojciec i córka śmiali się z wyprowadzonego w pole leśniczego do rozpuku, gdy w tem otworzyły się drzwi chaty i w progu stanął pełnomocnik obszaru dworskiego Giorczak.

Na brzydkiej jego twarzy, na której rozpusta wyryła swe ślady, malowała się jakaś szatańska radość; pod rudym, szczecinowatym wąsem błyszczały duże białe zębiska, jak kły u dzika, a chytre wąskie oczki latały szybko w tę i w ową stronę, jakgdyby się lękały wzroku uczciwego człowieka.

— Jak się macie Marcinie! — rzekł przybyły — jak zdrowie Hanko!

Marcin szybko zerwał się z ławy i skłonił uniżenie, a Giorczak ciągnął dalej.

— Ekonom was woła Marcinie! Idźcież no zaraz do niego, bo podobno się tam owce pochorowały, czy coś takiego!...

Marcin nie zwlekając zarzucił na plecy swą wytartą sukmanę i wziąwszy czapkę, przestraszony wyszedł z chaty nawet bez pożegnania.

Giorczak po wyjściu Marcina, rozejrzał się bacznie dookoła, jakby się chciał przekonać, że istotnie prócz niego i dziewczyny niema nikogo w izbie, a następnie usiadł ciężko na ławie.

Przez chwilkę trwała cisza, niby przed burzą.

— Haniu!... — szepnął pełnomocnik zwracając się do dziewczyny.

— Co proszę łaski pana? — odpowiedziała sucho zagadnięta, nie patrząc nawet w stronę Giorczaka.

— Namyśliłaś się, czy nie? — zapytał gniewnie — powiedz mi raz już nareszcie. Chcesz być u mnie teraz za gospodynię, a później, gdy zamrze to stare pudło, co zwie się moją żoną, pójść ze mną do ołtarza?! Czy ty rozumiesz dziewucho, jaki to zaszczyt dla ciebie?...

— A no pewnie! — odrzekła z uśmiechem Hania — ino, co nic z tego nie będzie, bo ja już z innym dawno zmówiona!

— Z innym?!... Ach wiem już, wiem, z tym chamem, z tym żebrakiem i złodziejem!...

Hania skoczyła jak zraniona lwica.

— Ej panie pełnomocniku! Dajno pan spokój i nie wycieraj sobie gęby moim Jaśkiem, bo ci to nie ujdzie na sucho!... Inaczej byś pan się pewnie o nim odzywał, gdyby on tu był...

Giorczak ze strachu obejrzał się po izbie. Istotnie obawiał się on porządnie Pogórnego, ale prócz nich dwojga nikogo w izbie nie było, więc pan pełnomocnik odzyskał swoją butę i odwagę.

— No, no! — uśmiechnął się złośliwie — dzięki mnie, to nie jest on jeszcze żebrakiem, ale, skoro go tylko ze służby wypędzę, to z głodu będzie musiał zginąć!...

— A jakże! niech się pan o to nie boi! już to mój Jaśko póki ma dwie zdrowe ręce, nie potrzebuje obawiać się głodu!...

— Zapewne — krzyknął gniewnie Giorczak, którego ta pewność dziewczyny doprowadziła do wściekłości — wiem dobrze, że taki kłusownik nigdy z głodu nie zginie, bo ostatecznie może znaleźć wikt i w kryminale!... Słuchaj Hanuś, czy ty doprawdy chciałabyś pójść za mąż za takiego człowieka, który ciągle jedną nogą stoi w więzieniu, który każdej chwili może się spotkać z kulą leśniczego lub żandarma?! A u mnie będzie ci dziewczyno jak w raju! Dam ci zaraz jedwabną suknię i będę ci płacić dwadzieścia koron miesięcznie zasług, a robić nic nie potrzebujesz! Jest przecie u mnie kucharka, są dziewki folwarczne! Ty nawet ręką nie potrzebujesz ruszyć! Ot z nudów zaglądniesz tu i tam i zajmiesz się trochę gospodarstwem...

Giorczak mówiąc to, przysunął się do Hani.

— I cóż dziewucho! Czy nie idzie ci ślinka do ust, gdy myślisz o takiem pięknem życiu?

To rzekłszy łotr chwycił dziewuchę w pół i przyciągnął ją do swych piersi. Usta jego poczęły szukać ust Hani, ale dziewczyna odtrąciła go tak silnie, że Giorczak, który niespodziewał się z jej strony żadnego oporu, zatoczył się aż pod ścianę.

Ale to nietylko nie ochłodziło jego zapałów, lecz przeciwnie tem więcej podrażniło jego namiętności. Pijany szałem, z błyszczącemi oczyma rzucił się na dziewczynę.

— Ej ty dziewko! — krzyknął zachrypniętym głosem — ja ci mówię, ty mi się nie sprzeciwiaj, bo jak po dobroci nie zechcesz zostać moją, to ja cię i gwałtem wziąć potrafię, a pies się nawet za tobą nie ujmie, za tobą się nie upomni!...

— Co? gwałtem?!... — zaśmiała się dziko Hania — ej panie Giorczak, niechno się pan tak nie przechwala, bo jakby tu tylko był mój Jaśko, to pewnie byś pan do mysiej dziury się schował! Gwałtem?!... Patrzcie no go tylko! Pan Giorczak gwałtem chciałby mnie wziąć! A-no spróbójcie panie! Spróbójcie! tylko nie myślcie, że ja się wam bronić nie będę!..

I dziewczyna jednym skokiem znalazła się u drzwi izdebki, aby uciec przed swoim prześladowcą, lecz Giorczak zastąpił jej drogę.

— Ej! Hanka!... — krzyknął — nie igraj no ty z ogniem dziewczyno! Piękna jesteś jak łania i musisz być moją po woli, czy po niewoli!... Lepiej ci przecie być jaśnie wielmożną panią, niż zarobić sobie po łokcie te białe ręce przy boku takiego złodzieja i żebraka...

— Dość tego, panie Giorczak! — przerwała Hania — nie wystarcza to panu, że prześladujesz mnie biedną dziewczynę, więc jeszcze nieobecnemu urągasz! Powiadam panu, że milszy mi mój Jaśko i życie przy nim, choćbyśmy oboje nawet z głodu przymierać mieli. jak jedno dotknięcie się waszej ręki!...

Dziewczyna stała przed pełnomocnikiem z świecącemi nozdrzami, z rozdętemi chrapkami tak piękna, tak pociągająca, że stary łotr przez chwilkę wpatrywał się w nią z zachwytem, a następnie nie zastanawiając się nawet wyciągnął ku niej ręce, szybkim, jak błyskawica ruchem uchwycił ją w objęcia i przyciągnął do siebie. Hania chciała się bronić, chciała krzyczeć i wołać o pomoc, ale Giorczak, jak wyrafinowany bandyta, wyciągnął z kieszeni chustkę i przemocą wtłoczył ją w usta swej ofiary.

Hania mimo to nie straciła przytomności, broniła się zawzięcie. Giorczak był jednak o wiele silniejszy od niej, więc powoli siły poczęły opuszczać biedną dziewczynę. Odczuł to prześladowca i szarpnąwszy jej ciałem, z całym wysiłkiem począł ciągnąć ją w kąt izby, gdzie stało łoże, Marcina. W tej chwili skrzypnęły drzwi i w progu chaty stanął Pogórny.

Giorczak usłyszawszy skrzypnięcie, puścił swą ofiarę i obrócił się czemprędzej; krzyk trwogi wyrwał mu się z piersi. "Uciekać", to była pierwsza myśl, która zawirowała mu w głowie. Bez namysłu skoczył więc w stronę okna, otworzył je i już... już... miał zniknąć po za niem, gdy na karku swym uczuł żelazną dłoń parobka.

Jaśko, który zrazu stał jakby osłupiały, na widok, że Giorczak pragnie mu się wymknąć, oprzytomniał odrazu i pochwyciwszy go za kark wciągnął do izby. Wściekły gniew zawrzał w jego sercu. Obu dłońmi, niby stalową obręczą, splótł gardło pełnomocnika tak silnie, że twarz łotra w jednej chwili z zielonej stała się fioletową.

— Ach ty poganinie! — syknął parobczak, zatapiając swój przenikliwy wzrok w pełnych przerażenia źrenicach Giorczaka — ty łotrze! I ty myślałeś, że mnie potrafisz wystrychnąć na dudka, że ja nie domyśliłem się, o co tobie i temu szelmie ekonomowi, temu Ściborze chodziło! Myślałeś jaśnie wielmożny panie, że gładko ci pójdzie z chłopką i z chłopem, ale pomyliłeś się jegomość! Z chłopką się nie udało, bo chłopka nie pani i umie swojej cnoty obronić, a chłop to ci za jej i za swoje krzywdy zapłaci! Módl się! módl się, póki jeszcze czas jaśnie wielmożny panie!...

C. d. n.



Nieśmiertelny kapelusz pana Kacpra.

(Humoreska).

Ludzie przywiązują się do zwierząt, a nawet i do martwych przedmiotów...

Nic w tem dziwnego tak dalece niema!... Dziwniejszem, a nawet wprost zdumiewającem jest natomiast, że i rzeczy, martwe przedmioty mogą się szczerze, — i. gdy wolno się tak wyrazić — bezinteresownie do swych właścicieli przywiązać!... Śmiejecie się, państwo? Mniejsza o to! Przeczytajcie sobie niniejszy traktak o starym, poczciwym kapeluszu — a przy ostatnich wierszach zapłaczecie z pewnością ze wzruszenia i przyznacie mi słuszność.

Co do pierwszego mojego twierdzenia, że ludzie przywiązują się do zwierząt, a nawet do martwych przedmiotów codziennego użytku, to przecie fakt ten dostatecznie jest znany i uznany, i nie siląc się wcale na teoretyczne argumentowanie, mógłbym na wielu z życia wziętych przypadkach stwierdzić słuszność mej hipotezy.

Ileż mamy dowodów niekłamanego, powiedziałbym nawet, rozczulającego przywiązania dam starszej generacyi do swych ulubionych piesków i kotków!

Dość rzucić okiem na drobne ogłoszenia w którejkolwiek z gazet!

Nie dawniej, jak wczoraj, czytałem naprzykład wzruszającą odezwę tego rodzaju:

„Zginął mały piesek, głuchy na lewe uszko, ślepy na prawe oczko, z uciętym ogonem, do którego przywiązaną była — samotna kobieta!“

Niemniej wzruszające są dowody przywiązania ludzkiego do martwych przedmiotów.

Sam pamiętam z młodych lat jeszcze — rozpaczliwe moje przywiązanie do pierwszego zegarka i niezmierzoną boleść moją, gdy przyszła fatalna chwila, w której... Ach! nie mówmy lepiej o tem!... Pamiątka tych pięknych młodzieńczych wzruszeń, nieopłacony kwit lombardowy z zastawionego pierwszego zegarka — znajduje się dotychczas w podręcznem mojem archiwum razem z pierwszym listem miłosnym — pierwszym protestem wekslowym i wycinkiem starej gazety z pierwszym drukowanym moim wierszem.

Tak! ludzie przywiązują się do przedmiotów, czasem nawet do dość oryginalnych przedmiotów, jak: gałąź drzewa, latarnia, a nawet w ich braku do pierwszego haka od lampy lub klamki.

Tak jest! Ale i *vice-versa* zdarzają się dziwne, rozczulające poprostu wypadki przywiązania przedmiotów, martwych rzeczy do człowieka.

Pomijam już owo naturalne, a konieczne przywiązanie pewnych części garderoby za pomocą szelek u panów, a podwiązek u dam, i pozwolę sobie twierdzić, że jest i pewne moralne, idealne przywiązanie w martwych przedmiotach, objawiające się tem, że w żaden sposób z swym posiadaczem rozłączyć się nie chcą, a podarowane komu innemu, wyrzucone nawet na śmiecie — wracają niezmiennie do swego pana.

Otrzymując np. stale jedną i tą samą pękniętą szklankę lub pogiętą łyżeczkę w cukierni — nieraz pomyśli sobie człowiek z pasyą:

— Niech dyabli porwą!... a to mam szczęście do tego starego grata!

Otóż podobne szczęście (przy którem się zwykle djabła wspomina) — miał mój przyjaciel pan Kacper — do swojego starego kapelusza...

Pan Kacper, stary kawaler, lat około 50, jest właścicielem ładnego i dobrze zagospodarowanego folwarku leżącego w sąsiedztwie powiatowego miasteczka. Człowiek zamożny, ale oszczędny, jest zdecydowanym konserwatystą, a zwłaszcza już na punkcie swego ubrania. Garnitury dochodzą u niego do niebywałych lat czynnej służby; to samo da się powiedzieć i o butach czcigodnego mojego przyjaciela.

A jednak ani ubranie, ani buty jego, nie mogłyby się pochlubić tak wytrwałą i niezmordowaną służbą jak jego kapelusz.

Opisywać szczegółowo ten artykuł garderoby uważam zupełnie za zbyteczne. Dla ścisłości zaznaczę tylko, że zarówno jego kolor, jak fason i wiek wreszcie, były trudne do określenia. Są domniemania między okolicznym ludem, że kapelusz ów wraz z kolonią odziedziczył pan Kacper przed 30 jeszcze laty po nieboszczyku ojcu swoim.

Pewnego razu wybrał się p. Kacper w historycznym swym kapeluszu na jarmark do pobliskiego miasteczka. Jak sam powiada nie wie co się stało — dość, że w pewnym żydowskim kramie „omamiony i otumaniony“ kupił sobie nowy kapelusz!

Stało się! dał żydowi pieniądze, otrzymał wzamian nakrycie głowy— cofnąć się nie mógł. Z westchnieniem rezygnacyi wsadził na głowę nowy, pod pachę wziął stary i, korzystając z mroku — polami — aby nie dostarczać ludziom sensacyi, pomykał do domu, czyniąc sobie po drodze srogie wyrzuty na temat marnowania grosza, nieposzanowania tradycyi i t. p.

W pół drogi spotyka p. Kacper żebraka i zażenowany nowem przystrojeniem głowy, chciał już zejść na bok, gdy w tem szczęśliwa myśl zaświtała mu w głowie.

— Daruję dziadowi stary kapelusz! zrobię dobry uczynek, a pozbywszy się starego grata pozbędę się i wyrzutów sumienia, jakiemi byłbym szarpany na jego widok.

Jak pomyślał, tak zrobił, i przeprowadzony błogosławieństwami biednego człowieka z lżejszem już sercem wchodził do domu.

Na jego widok, a raczej na widok kapelusza, starsza siostra p. Kacpra, mieszkająca przy nim na folwarku przeżegnała się Krzyżem św. i zawołała głosem, w którym mieszało się zdziwienie i wyrzut:

— Kacper! Kacper!...

— Kupiłem sobie kapelusz! — odpowiedział pan Kacper bohatersko i, oświadczywszy, że wieczerzy jeść dziś nie będzie, udał się na spoczynek.

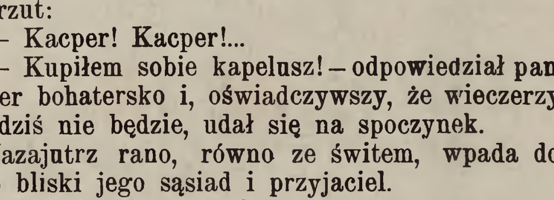
Nazajutrz rano, równo ze świtem, wpada do niego bliski jego sąsiad i przyjaciel.

— Kacper ty żyjesz?

Zagadnięty przetarł oczy, a poznawszy gościa, zapytał dość kwaśno:
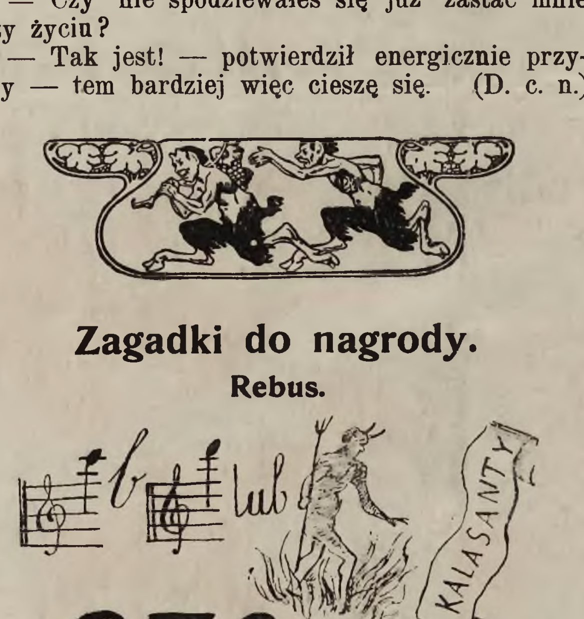
— Czy nie spodziewałeś się już zastać mnie przy życiu?

— Tak jest! — potwierdził energicznie przybyły — tem bardziej więc cieszę się. (D. c. n.)



Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

Ułożył W. K.

I.

Tak *całość*, jak i *pierwsze-trzecie:*
Znane są wszędzie na szerokim świecie...
Jedne przyjemne i bardzo łaskawe,
Lubią spokojną domową zabawę, —
Inne wybiegają gdzieś z rodzinnej chatki,
Porzucając bez żalu swe malutkie dziatki...
Nie bacząc na to, jaki los je czeka;
Wracają — gdy im *druga:* da dopieka!
Z szarady tej taka wypływa nauka:
Niech każdy „łaskawe“ stworzenia poszuka, —
By później nie śpiewał głośno „gorzkie żale“...
Więc baczność! — szukajcie dobrze — w karnawale!...

II.

Gdy *pierwsza-czwarta* ma piękne zalety —
I gdy ojczulek da trochę monety, —
Wtedy niech *pierwszy: czwarte-drugie* zważa...
I szybkim krokiem spieszy do ołtarza!..
A gdy za żonę dostaniesz anioła,
To *trzecia-czwarta* twa będzie wesoła.
Całość: widowisko — od Greków pochodzi, —
Lubią je dosyć: i starzy i młodzi.

Logogryf.

Ułożył W. K.

W poniższych wyrazach poprzestawiać litery w ten sposób, aby utworzyły 12 miejscowości galicyjskich.

Początkowe litery tych złożonych nazw, czytane z góry do dołu, dadzą dwa miasteczka: 1. w Królestwie Polskiem, 2. na Litwie.

1. Natryho.
2. Dónachwry.
3. Ladino.
4. Mięświco.
5. Ściakoms.
6. Mrobas.
7. Warkkó.
8. Jokałymo.
9. Nebryto.
10. Cowdawei.
11. Gonrytwa.
12. Comiok.

Arytmogryf.

W niżej oznaczonych kombinacyach zamiast liczb wstawić litery tak, aby środkowe litery otrzymanych 10-ciu wyrazów, czytane z góry na dół, utworzyły tytuł powieści Sieroszewskiego.

Kombinacye:

		5	17	5	**6**	16	5	14		
		12	5	18	**5**	19	15	14		
13	5	18	13	5	**14**	9	21	11	10	5
	1	5	19	5	**17**	15	14	4	5	
			1	8	**16**	5	18			
			5	22	**8**	12	5			
	2	5	13	9	**14**	11	10	4	9	
	5	14	5	11	**19**	5	20	3	5	
		11	20	3	**11**	20	10	5		
		21	8	7	**3**	1	9	18		

Znaczenie wyrazów: 1. Tytuł utworu Zygm. Krasińskiego. 2. Miasto w starożytnej Grecyi. 3. Cieśnina w Europie. 4. Kraj w Ameryce. 5. Naczynie. 6. Stolica dawnych monarchów abisyńskich. 7. Księstwo w Niemczech. 8. Imię żeńskie. 9. Owoc leśny, 10. Dyabeł.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy:

„Wielki król Patacake“, satyra.

Rozwiązania z Nru 3.

Rebus: Wielkie i rzadkie ofiary serca znajdujemy jedynie u kobiet.

Szarada: Malwina.

Logogryf: Michał Bałucki — Klub kawalerów.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Ramułtowa, Mika, Dziedzicowa, Starowiejski, Josefert, Roliński, Kowalski.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Roliński w Stanisławowie. Prosimy o nadesłanie 50 hal. na koszta przesyłki.

NADESŁANE.

(Za ten dział Redakcya nie odpowiada.)

„PENSION NOUVELLE“

poleca pokoje umeblowane, każdy z osobnem wejściem, z całem utrzymaniem lub bez, dla osób przejezdnych i stałych mieszkańców, po cenach przystępnych.

ULICA ZACISZE L. 5, II. PIĘTRO, SCHODY NA PRAWO.

Poleoa rozmaite wyborne gatunki

KAWY

codziennie świeżej

równo i pięknie palonej najnowszym i najlepszym sposobem

za pomocą gorąoego powietrza

odznaczającej się najprzedniejszym czystym smakiem, pełnym i silnym zapachem, największą wydatnością, a zarazem posiadającą własność utrzymywania przez czas długi smaku i zapachu, w niezmienionej pierwotnej świeżości

po cenach bardzo przystępnych.

Na prowincyę wysyła od czterech kilgr. począwszy **oodzień świeżo** paloną kawę 2—14 **= opłatnie. =**

Pierwsza Krakowska elektro-mechaniczna

PALARNIA KAWY



M. JAWORNICKI

KRAKÓW

Rynek gł. 44.

Najtańsze pismo humorystyczne

„BOCIAN“

wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca

Adres Redakcyi i Administracyi:

Kraków, ulica Zielona 7

Telefon Nr. 510.

Ciągnienie już 15-go lutego 1905 r.

Loterya Kolejarzy „Flugrad“

Główna wygrana **50.000 Koron** razem 9999 wygranych w sumie **125.000 Koron**

Cena losu 1 Korona. Losy nabyć można w trafikach, kolekturach, urzędach poczt., kolejow., kantorach wym. i w biurze loteryjn. **Wiedeń, I., Gumpendorferstr. 21.**

Losy po koronie, 6 losów 5 kor. 50 hal., **11 losów tylko 10 koron** poleca Kantor wymiany **Braoi Eibenschütz w Krakowie, Rynek gł. 5.**

Za darmo otrzyma każdy

wspaniały Kalendarz

„Bociana“ na rok 1905

zawierający około 100 illustracyi

kto zaprenumeruje dwutygodnik humorystyczno-satyryczny „Bocian“ na pół roku i nadeśle półroczną prenumeratę w kwocie **4 koron** wprost do centralnej Administr.

Kraków, ul. Zielona 7.

„MINIMAX“

najlepszy i najtańszy aparat do gaszenia ognia

Cena Koron 50 za sztukę

Ładunki rezerwowe po Koron 5.

Jener. Zastępstwo:

F. Lord, biuro techniczne

Kraków, Floryańska 55.

„Nowości illustrowane“ są wszędzie do nabycia!

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.